

Czesława Fater

Aniołowie bez skrzydeł

Łzy mojego Dziadka

Dziesiątki lat upłynęły od zagłady Żydów w drugiej wojnie światowej. Lęk, ucieczka od śmierci i niezłomna walka o życie nie były daremne. Ocalona, wyszłam z pożogi i czułam się jak zmartwychwstała. Gorzkie myśli i krwawe obrazy wyryte w mózgu zepchnęłam głęboko w niepamięć, aby zacząć życie od nowa. Marzyłam o dachu nad głową, pracy i gnieździe rodzinnym.

Spotkałam człowieka o łagodnym charakterze, pełnym wyrozumienia. Miłością goił rany w moim sercu. Razem, wspólnym wysiłkiem budowaliśmy dom.

Ciepło rodzinne umożliwiło nam twórcze i samodzielne życie, według własnych upodobań i zainteresowań. Dom stał się dla nas świątynią wypełnianą pracą i ważnymi treściami. Choć po paraliżujących przeżyciach wojny przygnębiona i wycieńczona, jednak duchowo i psychicznie silna, realizowałam plany, trzymając się Mickiewiczowskiej dewizy: "Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił."

Często zadawałam sobie pytanie, z jakich źródeł czerpałam wiarę w siebie, równowagę i siłę duchową do wytrwania w tej walce ze ścigającą mnie śmiercią?

Odpowiedź znalazłam sięgając do korzeni, do wspomnień z odległych lat mojego dzieciństwa. Bywałam wtedy często u Dziadków - rodziców Mamy - w Aleksandrowie. Babcia z "cynamonowego" sklepiu wyżywiła swoją rodzinę. Żyli ubogo, ale chędogo. Synowie kształcili się w Jeszowie, córki, choć wychowane bardzo religijnie, chłonęły wiedzę i były otwarte na świat. Mama wyróżniała się erudycją i talentami. Czytała prozę i poezję niemiecką i rosyjską w oryginale, równie dobrze opanowała klasyków żydowskich. Opowiadała legendy z mitologii greckiej, znała poglądy różnych filozofów. Najczęściej powtarzała mądrości z Midraszy żydowskich. Lubiła dyskutować na tematy religii i świeckości, nie widząc sprzeczności w ich połączeniu. Kochała muzykę, teatr i malarstwo. Jej osobowość; uroda i manery wywoływały szacunek i uznanie otoczenia. Wychowywała swoje dzieci niezwykle starannie, dbała o ich rozwój intelektualny i artystyczny, kształtowała poczucie estetyki i piękna, chodziła z nimi na koncerty i wystawy. Za wszystko, co w dzieciństwie i młodości sprawiało mi radość i satysfakcję, jestem jej bardzo wdzięczna i będę opłakiwać ją do końca moich dni.

A Dziadek?

Przesiadywał od wczesnego rana do późnej nocy nad świętymi księgami Talmudu. Żywił głęboką wiarę w przyjście Mesjasza. Rezygnował z przyjemności doczesnego życia dla zapewnienia sobie zaszczytnego miejsca w raju wśród cadyków wszystkich pokoleń. Jedyną odmianą w jego codzienności były doroczne wyjazdy do rebege w Górze Kalwarii. Tam w bóżnicy cadyka odprawiał modły noworoczne wśród tysięcy chasydów.

Z wielu, bardzo wielu obrazów wciąż żywych w mojej świadomości przytoczę tylko dwa:

Noc. . . Przytulona do Babci, śpię głęboko. Nagle budzą mnie jęki i westchnienia. Otwieram oczy, odwracając się do światła. Widzę Dziadka pochylonego nad opasłą księgą. Jego czoło i żółtkłe kartki oświetla gruba świeca. Łzy spływają mu po twarzy. Przelękniona zeskakuję z łóżka. Podbiegam do niego.

- Czemu płaczesz, Dziadziu? - pytam. - Co cię boli? Czy jesteś chory?

Dziadek podnosi głowę znad księgi, przerywa modły i wzięwszy mnie na rękę, sadza na kolana. Całuje, głaszcze po głowie i szepcze:

- Wrogowie spalili naszą świątynię. . . wygnali nas z naszego kraju. Jerozolima została zburzona, zamieniona w pustynię. . . Ciężko żyć w diasporze. . . Kiedy będziesz duża, zrozumiesz moje słowa.

Miałam wtedy pięć lat. Kiedy dorosłam, uprzytomniłam sobie, że owej nocy Dziadek odprawiając modły oplakiwał zburzenie Jerozolimy.

Rok 1939, listopad. Niemcy niszczą Polskę. Posługując się perfidnymi metodami, ścigają i rozstrzelują niewinnych mieszkańców mego miasta. Od pierwszej chwili ogłosili wyrok śmierci na społeczność żydowską. Toteż Żydzi ogarnięci trwogą masowo uciekają z dużych miast na prowincję, inni z miasteczek do większych osiedli. I jedni, i drudzy wierzyli, że wybrana droga pomoże im ominąć śmierć.

W domu Dziadka w Łodzi skupili się bliscy i krewni z różnych stron kraju. Moje siostry z mężami i niemowlętami szykowały się do ucieczki do Warszawy. Ja, najmłodsza, starałam się im pomóc, opiekując się ośmiomiesięczną siostrzenicą i czteromiesięcznym siostrzeńcem.

Zamęt, panika i strach rosły z godziny na godzinę. Dochodziły słuchy o hitlerowskich zbrodniach, łapanekach na ulicach, w domach, wywożeniu do obozów i znęcaniu się nad ofiarami. W tej sytuacji Rodzice, którzy wcześniej opuścili Łódź i dotarli do rodzinnego miasta Ojca, prosili, abym natychmiast przyjechała do nich, bo życie w miasteczku wydawało się spokojniejsze. Posłuszna, przygotowałam rzeczy pierwszej potrzeby. Wybrałam także garderobę dla siostry Mamy i jej rodziny. Ciocia z mężem i córeczkami pozostali na miejscu, uważając, że ta barbarzyńska wojna musi się szybko skończyć.

Gdy szłam pożegnać się z wujostwem, udało mi się kupić bochenek chleba, trochę kartofli, cukier i ciasteczka dla dzieci. Obładowana paczkami, pośpiesznie weszłam na ulicę Kościelną. Na trzecim piętrze, w jednopokojowym mieszkanku, przy stole siedzieli wszyscy, pogrążeni w rozpaczliwym smutku i strachu. Najbardziej zaskoczyła mnie obecność Dziadka z Aleksandrowa. Przybył do Łodzi razem z innymi uchodźcami. U cioci czuł się pewniejszy. Poznał mnie od razu. Zerwał się z miejsca i podniesionym głosem zawołał:

- Wnuczka moja przyszła do nas! Anioł w domu!

Mało nie upadł ze wzruszenia. Odetchnął, usiadł, ręce złożył przed sobą na stole, a na nich oparł głowę.

Wszyscy milczeli, nie reagowali. Ich wygląd zdradzał cierpienie. Jakby wstydzili się swojej nędzy i bezradności. . . Po długich minutach grobowej ciszy opowiedziałam im o ucieczce Rodziców, sióstr i o tym, że na życzenie Rodziców opuszczam Łódź. Na pytanie, czy chcą wyjechać razem ze mną, bogobojny Dziadek odpowiedział:

- Zostaję z dziećmi do końca wojny, będę dzielić ich los. Przyjmujemy Sąd Boży.

Dyskretnie, żeby nie urazić wujostwa, wyjęłam chleb, pokroiłam w kawałki i posypałam cukrem. Z braku opału nic ciepłego nie było do picia. Jedli ostrożnie, aby starczyło na jutro, pojutrze, a może na wiele dni. . .

Usiadłam obok Dziadka. Wzięłam jego zimną dłoń i nieśmiało ją pocałowałam. Podziwiałam spokój tych dotkliwie cierpiących ludzi. Nikt z nich nie skarżył się ani nie narzekał. Nawet w najbardziej przytłaczających momentach mój Dziadek nie bluźnił. Głęboko wierzył w sprawiedliwość boską.

Księżyc ukazał się zza horyzontu, zmrok zapadł. Pożegnanie z rodziną, szczególnie z uwielbianym Dziadkiem, było bardzo bolesne. Z kolei objęli mnie ciocia, wujek, małe kuzyneczki. Całowałam ich, a oni stali bez słów, płakali. Dziadek z wysiłkiem wstał z krzesła, opierając się na mnie. Drobnym krokiem odprowadził mnie do schodów. Przy poręczy stanęliśmy. Dziadek, wysoki, niebieskooki, siwiejący blondyn, chyba czuł, na co jest skazany. Znieruchomiał. Po chwili złożył ręce na mojej głowie, szepcząc błogosławieństwa.

Nagle gwałtownie zapłakał. Przerazona, obawiając się, że upadnie, złapałam go w objęcia i błagałam, aby nie rozpaczał. Bóg go nie opuści i znów będziemy razem.

Powoli wyczerpały się łzy Dziadka. Stał osłabiony, miał nabrzmiałe powieki i ochrypłym głosem prosił:

- Nie zapomnij nas. Będę bezustannie modlił się, aby Bóg chronił ciebie. Pragnę chociażby jeszcze jeden raz zobaczyć was wszystkich i umrzeć w spokoju.

Zaniemówiłam. Do głębi wzruszona, chciałam podprowadzić Dziadka do drzwi, ale odmówił i nadal trzymał się poręczy. Zeszłam pół piętra i odwracając się spojrzałam na niego. Stał nachylony patrząc za mną. Spod zaczerwienionych powiek ściekały łzy.

Echo ostatniej prośby Dziadka: "Nie zapomnij nas", stało się mottem tej pracy.

Więcej Dziadka nie widziałam.

Rozdział pierwszy

Obudziłam się dzisiaj z uczuciem grozy. Ogarnął mnie strach przed pójściem do szopu. Przeżycia ostatnich dni dobiły mnie. Nie mogłam się otrząsnąć z okrutnych wydarzeń, których byłam naocznym świadkiem. Czułam, że opuszczają mnie siły, zarówno fizyczne, jak i duchowe. Zdawałam sobie sprawę, że dłużej nie będę w stanie wytrzymać napięcia wywołanego tym, co widziałam na własne oczy.

Pojawiają się przed moimi oczami postacie rozjuszonych esesmanów, którzy zastrzelili biegnącego do kryjówki chłopczyka. Widzę siebie stojącą w kolejce z moimi współpracownikami z szopu, w panicznym strachu, niepewną, czy czarny esesmański palec skieruje mnie na prawo czy na lewo. Przechodzą mnie dreszcze, kiedy w mojej pamięci odżywa przerażająca, straszliwa chwila, w czasie której zamiast na lewo, co oznaczało śmierć, intuicyjnie pociągnęłam moją sąsiadkę na prawo i dzięki temu obie zostałyśmy ocalone.

Stałam oszołomiona nie wiedząc, co mam poczuć. Wokół mnie rozlegały się strzały, dzikie okrzyki. Widziałam biegnących, oszalałych ze strachu Żydów. Istny świat chaosu i zniszczenia, a ja stałam w samym jego środku cała i nietknięta.

Wszystkie te piekielne obrazy rozbłyły przede mną tego ranka, jakby ostrzegały mnie przed pójściem do szopu. Aby jednak nie zostać sama, wybiegłam z domu. Biegąc, gdzie oczy poniosą, dotarłam do ulicy Leszno. Mieszkała tam Zosia, koleżanka z mojego rodzinnego miasta Łodzi. Wstąpiłam do niej, aby się czegoś dowiedzieć o jej rodzinie, czy udało się im wyjść cało z ostatnich akcji. Właściwie chodziło mi raczej o to, żeby być razem z nimi. Strach przed śmiercią zmusił mnie do poszukiwań kogoś bliskiego. Nie szukałam pomocy, ale ulgi, w myśl przysłowia: "Nieszczęście wielu jest połową pocieszenia."

W mieszkaniu Zosi zostałam jej matkę i młodszą siostrę.

- Miałyśmy szczęście, bo udało nam się wyrwać z ognia - oświadczyła matka Zosi. Zalana łzami, serdecznie mnie ucałowała. Ledwo zdążyłam usiąść, gdy wtem rozległy się odgłosy wystrzałów, przerywane rykami jakby dzikich bestii. Drzwi mieszkań, w których pozostali jeszcze Żydzi, otwierały się gwałtownie. Ze wszystkich pięter ludzie zbiegali na ulice. Okrzyki wołających o ratunek zmieszane ze straszliwym lamentem rozdzierały ściany pięciopiętrowego domu. Ludzie biegli po schodach, popychali się, tworząc niesamowite kłębowisko, prące ku ulicy. Również moja koleżanka i jej bliscy gdzieś szybko zniknęli. Przez krótką chwilę byłam sama w pokoju. Nie namyślając się długo, ukryłam się w stojącej tuż obok szafy. Nie zdążyłam głęboko odetchnąć, kiedy przed moimi oczami zaczęły przesuwać się obrazy z poprzednich akcji. Uprzytomniłam sobie, że mordercy hitlerowscy z niemiecką dokładnością zwykli zaglądać do szaf, łóżek, szufl, a

każdego tak odnalezionego na miejscu rozstrzelowali. Po kilku sekundach, pchnięta instynktem wyskoczyłam ze skrzyni i w ostatniej niemal chwili wybiegłam na ulicę. Szybko wepchnęłam się do jednego z ustawionych na ulicy Leszno szeregów.

Wcześniej, wybiegając z bramy, zobaczyłam straszliwy widok. Ze szczytu stojącej naprzeciwko wysokiej kamienicy dwie "ludzkie" łapy wyrzuciły przez okno kobietę. Zginęła na miejscu. Obraz tych monstrualnych łap esesmana po dziś dzień rani moje serce.

Stojąc w szeregu razem z setkami, a może tysiącami Żydów powoli uprzytomniłam sobie, gdzie jestem, co mnie czeka i co zaraz nastąpi. Pocieszyłam się myślą, że nie jestem sama, że jestem razem z wieloma Żydami. Wszyscy tworzyliśmy nieruchomą ludzką masę, czekającą tylko na rozkazy. Z różnych stron rozlegały się strzały, odbijające się echem jak grzmoty w górach. Niektóre z nich gwałtownie cichły, jakby zagłuszały je ciała, w które trafiały kule.

Opanowało mnie uczucie obojętności, bezradności. Poczulałam się zagubiona, bez żadnej nadziei. Mój mózg przestał pracować, stanął jak maszyna pozbawiona dopływu prądu. Nagle wśród niemej ciszy dotarł do moich uszu szept: - Cesium! Cesium! - Kto to może być? Pomyślałam, że to moja siostra Rachela z dzieckiem. Chciałam odwrócić głowę, żeby się o tym przekonać, ale serce mocno we mnie zabiło i powstrzymałam się od wykonania jakiegokolwiek ruchu. Za taki "grzech" Niemcy rozstrzelują na miejscu.

Bez względu jednak na grożącą śmierć, nie mogłam pozostać obojętna wobec kogoś, kto mnie wzywał po imieniu. I kiedy szept powtórzył się wyraźniej, rozpoznałam delikatny głos Anity Birnbaum.

Anita mieszkała razem z rodzicami w getcie. Jej starsza siostra, aktorka polskiej sceny, mieszkała z mężem ewangelikiem po aryjskiej stronie, pod nazwiskiem Gruszecka. Przez cały czas pomagała rodzicom i siostrze, utrzymywała ich przy życiu. Z dostarczanego przez nią prowiantu Anita nie omieszkła od czasu od czasu przekazać jakiejś części dla Lusi, córeczki mojej siostry Racheli.

Zobaczywszy mnie wbiegającą do szeregu, w którym stała, wyszeptala drżącym głosem:

- Cesium, Cesium, zapamiętaj, proszę cię, adres mojej siostry. Jeśli zdołasz wyrwać się z tego piekła, przekaz jej, że mnie widziałas.

Skinieniem głowy dałam jej znać, że tak zrobię.

Przez wiele godzin staliśmy jak skamieniały na jednym miejscu. I nagle ten nieprzeliczony tłum poruszył się. Zaczęliśmy maszerować naprzód. Odniosłam wrażenie, że nie jest to marsz ludzi słabych, wygłodniałych i udręczonych, prowadzonych przez katów do komór gazowych. Wręcz przeciwnie. Był to marsz mocnych, dumnych ludzi o wyprostowanych plecach, świadomych celu, do którego zmierzali.

Jak długo trwał marsz na Umschlagplatz, nie wiem. Stałam stłoczona w nie kończącym się szeregu ludzi pędzanych z ulicy Leszno. Widziałam niemą rozpacz, bezmiar łez płynących z oczu. Nieszczęśliwi Żydzi odmawiali szeptem ostatnie modlitwy. I kiedy obojętne niebo milczało, usłyszałam nagle odbity echem głos mojej mamy: "Dziecko moje, ratuj się!" Święty nakaz kochanej Mamy zabrzmiał w moich uszach. Obudziło się we mnie uparte pragnienie życia. Nie poddam się - postanowiłam. Poczułam, jak w mojej głowie zaczynają rodzić się nowe myśli. Zaczęłam szukać jakiegoś punktu oparcia, jakiegoś sposobu, dzięki któremu udałoby mi się wyrwać z tej doliny śmierci.

Umschlagplatz był długi i szeroki. Po jego prawej stronie wznosił się wysoki mur, po lewej stały dwa budynki, w których mieścił się szpital żydowski. Z daleka widać było szyny kolejowe. Zwykle stały tam przygotowane zawczasu wagony odwożące ofiary do Treblinki. Tym razem, kiedyśmy dotarli na Umschlagplatz, wagonów jeszcze nie było.

Zaczęłam prędko rozglądać się na wszystkie strony w poszukiwaniu czegoś lub kogoś, kto by mi pomógł wyrwać się z tego piekła. I nagle poznałam w stojącym nieopodal policjancie Heńka Kaca. Bez zastanowienia krzyknęłam:

- Ratuj mnie! Ratuj mnie!

On lekkim, uspokajającym skinieniem głowy potwierdził, że mnie poznał.

Heniek Kac, kuzyn mego szwagra, studiował za granicą. Przyjechał na letnie wakacje do rodziców. Kiedy Judenrat przystąpił do organizowania żydowskiej policji w getcie, Heniek nie mając środków na kęs chleba zgłosił się do niej.

Po kilku chwilach Heniek wdarł się w tłum, złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę szpitala. Z wielką siłą natarł na wysokie drzwi i otworzywszy je wepchnął mnie na korytarz.

- Tu masz na mnie czekać - powiedział i zatrzasnąwszy drzwi zniknął.

Zostałam na korytarzu owładnięta śmiertelnym strachem, bezradna, nie wiedząc, co począć. Rozglądając się zauważyłam stojącą obok Reginkę Kadisz z siostrzyczką. Były to moje sąsiadki z Łodzi. Oprócz nich było jeszcze kilka innych dziewcząt, które po chwili pobiegły na górę w poszukiwaniu jakiejś kryjówki.

Znów otworzyły się ciężkie i szerokie drzwi wejściowe. W okamgnieniu Heniek podał mi biały fartuch i zatrzasnął drzwi. Z fartuchem w ręku pobiegłam schodami na górę, zaczęłam zaglądać do pokoiów, szukając chorych. Miałam zamiar udawać pielęgniarkę albo chorą. Nie znalazłam w szpitalu żywej duszy, w popłochu zbiegłam z powrotem. Gwałtownie zatrzymałam się na dole jakby zamieniona w słup soli.

Dręczące chwile śmiertelnego strachu przerwało wejście Heńka Kaca, który tym razem otworzył drzwi powoli i cicho. Wziął mnie za rękę i pośpiesznie doprowadził do grupy

pielęgniarek stojących przy wyjściu z Umschlagplatzu. Wszystkie były ubrane w białe fartuchy i trzymały w ręce dokumenty, na podstawie których mogły pojedynczo opuścić to groźne miejsce.

Przy wyjściu po jednej stronie stali gestapowcy, po drugiej żydowscy komisarze, którzy skrupulatnie przeglądali dokumenty każdej pielęgniarki. Kiedy zbliżyłam się do wyjścia, Heniek wyjaśnił komisarzowi zmyśloną przyczynę mego spóźnienia i zagubienia dokumentu. Słowa Heńka przekonały kontrolerów i otworzyli przede mną szlaban. Po chwili znalazłam się na wolności. Cudem zostałam uratowana od śmierci w komorze gazowej Treblinki.

Było już po godzinie policyjnej. Dookoła, na ulicach getta, nie było żywej duszy. Jedna wielka pustynia i złowroga przejmująca cisza. Wszędzie leżały ciała zamordowanych przykryte gazetami, na nich kamienie chroniące je przed wiatrem. Po wyjściu z Umschlagplatzu wszystkie pielęgniarki rozbiegły się. Ja również pobiegłam tam, gdzie razem z Rachelą i Lusią wcześniej nocowałyśmy. Napięcie i strach odebrały mi siły. Mimo to biegłam jak szalona, żeby zobaczyć moją siostrę z dzieckiem. Jedna tylko myśl kołatała mi w głowie: Jaki los je spotkał? Co się z nimi stało w tym długim, przeklętym dniu?

Kiedy wpadłam do domu, potknęłam się o rozwalone drzwi oderwane od framugi. Kawałki rozbitych mebli leżały na podłodze. Z górnego piętra doszedł mnie odgłos czyjegoś głębokiego westchnienia. Wpadłam do zdemolowanego pokoju i zobaczyłam siostrę z dzieckiem. Leżały na rozciągniętym na podłodze materacu. Szwagra ujętego podczas łapanki wywieziono wcześniej do Majdanka. Przez uciekiniera przysłał siostrze liścik, w którym było jedno zdanie: "Stąd nikt nie wraca." Rachela lekko drzemała i raz po raz wzdychała. Czekwała na mnie. We mnie widziała jedyny ratunek. Miała oczy spuchnięte od płaczu. Mocno przytuliła dziecko do siebie. Spoza ramion, którymi obejmowała córeczkę, przeświecały jasne włoski. Obie były wyczerpane z głodu, pragnienia i strachu. Wyjęłam z torebki dwie kromki chleba, które zaoszczędziłam z całodziennego posiłku, i podzieliwszy jedną na trzy części, przygotowałam dla nas "jedzenie". Popiliśmy kilkoma łykami wody ze stojącej w pobliżu butelki. Ten kawałeczek chleba przywrócił nam na chwilę siły. Rachela zaczęła opowiadać.

- Dzisiaj natychmiast po przyjściu do szopu weszłam z Lusią do komórki, w której już kilka razy udało mi się schronić. W komórcie gnieździło się wiele matek z dziećmi na rękach. Starsze dzieci chowały się pod sukniemi matek. Z trudem udało mi się znaleźć miejsce wśród stojących, zdyszanych kobiet. Ciężko było oddychać z braku powietrza. Po prostu mdlałyśmy. Dzieci ze strachu zaniemówiły. Żadnym dźwiękiem nie zdradzały swojej obecności. I tym razem udało nam się ująć cało. Kiedy wróciłam do domu, zastałam mieszkanie puste, splądrowane, zdemolowane. Chciałam od razu z niego uciec, ale nie wiedziałam dokąd. Zresztą nie mogłabyś nas odnaleźć.

Rachela była całkowicie zrezygnowana. Umilkła i z opuszczaną głową czekała na słowa

otuchy z mojej strony. Opowiedziałam jej, w jaki sposób udało mi się wyrwać z Umschlagplatzu. Nachyliwszy się nad nią dodałam zdecydowanie, że musimy teraz za wszelką cenę wydostać się z getta, i to jak najszybciej. Rachela przyrzekła pomoc, obiecała współdziałać ze mną.

Zapadłyśmy wszystkie w półsen. O północy, a była to noc z 5 na 6 września 1942 roku, nagle obudziłam się. Zdawało mi się, że słyszę odgłosy jakiegoś dalekiego tumultu. Odgłosy te początkowo słabe, w miarę upływu czasu wzmagały się. To był tumult wywołany przez ludzi. Poczuliśmy niebezpieczeństwo. Siostra nie chciała jednak budzić dziecka, dlatego starała się i mnie powstrzymać od jakichkolwiek działań. Gdy zgiełk i szum przybliżył się do nas, Rachela pochwyciła dziecko na ręce i zbiegłyśmy na ulicę.

Noc była ciemna. Gęste chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy. To wszystko wraz z ciężką atmosferą zapowiadało nowe, straszliwe wydarzenia. Mimo że szliśmy obok siebie, jedna prawie nie widziała drugiej. W pobliżu natrafiłyśmy na liczne grupy Żydów, których niemiecki rozkaz wypędził na ulice. Z ust do ust przekazywali sobie złowrogie rozporządzenie: “Jutro do godziny 10 rano wszyscy pozostali w getcie Żydzi muszą się zebrać na wyznaczonych ulicach.”

W wielkim pośpiechu wróciłyśmy do zrujnowanego domu. Rachela uśpiła dziecko i zaczęła szperać po wszystkich zakamarkach domu w poszukiwaniu jedzenia.

Wskaźówki zegara poruszały się szybko, przez rozbite szyby zaczęło się wkradać światło nadchodzącego dnia. Razem z siostrą zaczęłyśmy na nowo obszukiwać mieszkanie, które kiedyś było komfortowe. Szukałyśmy pod gruzami w każdym kącie resztek żywności. Znalazłyśmy tylko dwie butelki z wodą. Jedną włożyłam do torby Racheli, w której leżała ostatnia kromka chleba z marmoladą oraz kilka rzeczy przeznaczonych dla dziecka.

6 września 1942 roku około 8 rano wyszłyśmy na ulicę. Panował tu straszny popłoch. Według niemieckiego rozporządzenia, kto do godziny 10 rano nie znajdzie się w obrębie czterech wyznaczonych ulic w getcie, ten zostanie rozstrzelany. Nic dziwnego, że Żydzi wartkim potokiem płynęli ze wszystkich ulic i uliczek.

Nieśli ze sobą cały “dobytek”, tłumoki, walizki i paczki przywiązane sznurkami do pleców. Byli także Żydzi bez tobołów. Oni już wcześniej wszystko stracili. Dzieci tym razem było mniej. Zarówno małych, niesionych na rękach, jak i starszych, prowadzonych. W tłumie było widać również Żydów, którzy stali zadumani, ogarnięci melancholią, sprawiający wrażenie, że rozmawiają sami ze sobą. Byli samotni mężczyźni i samotne kobiety. Ich rodziny wcześniej zostały wywiezione do obozów śmierci. Cały ten tłum podążał w tę samą stronę.

Zatrzymałyśmy się na środku drogi. Zauważyłyśmy, że wszyscy ludzie kierują się w stronę czterech wyznaczonych przez Niemców ulic. Powoli tłum stawał się coraz rzadszy. Musiałam chwilę pomyśleć, dokąd mamy iść. Intuicyjnie zdecydowałam się. Złapałam siostrę za rękę i

zerwałam się z miejsca. Skierowałam się na prawo w przeciwieństwie do podążającego na lewo tłumu. Pędzona jakąś tajemniczą siłą ruszyłam w kierunku ulicy prowadzącej do bramy getta, którą wychodziło się na aryjską stronę. Nie znałam ulicy, po której szliśmy. Na chwilę zatrzymałyśmy się. Wokół nas panowała śmiertelna cisza. Jakby wszystko, co żywe, zamarło lub schowało się. I w tej beznadziejnej chwili dostrzegłam naprzeciwko nas w parkanie furtkę, przez którą wyjrzała kobieta.

- Zlitujcie się - krzyknęłam.

Przecząco pokręciła głową i gwałtownie zamknęła furtkę. Jednym skokiem, przebiegłyśmy ulicę i dopadłyśmy furtki. Drżącymi głosami błagałyśmy:

- Droga pani, proszę zlitować się nad dzieckiem i wpuścić nas.

Kobieta otworzyła furtkę, wpuściła nas do środka i błyskawicznie zamknęła. Wprowadziła nas do stojącej obok przybudówki, w której leżały worki z wapnem, należące kiedyś do fabryki mydła "Puls". Na ławce siedziało dwóch mężczyzn. Młody ojciec z synem, chłopcem czternasto-, piętnastoletnim. Byli to Żydzi. Usiadłyśmy obok. Milczeliśmy.

- Drzwi nie są zamknięte i zostaną otwarte - powiedziała kobieta przed wyjściem. Chodziło jej o to, żeby nie być oskarżoną o przechowywanie Żydów, za co groziła kara śmierci. Po kilku chwilach wróciła z czajnikiem gorącej wody.

Znowu ogarnięte strachem przed groźącym niebezpieczeństwem wyleciałyśmy na dwór. Nieprzyjemny zapach dolatujący ze stojącego obok śmietnika w jakiś sposób przyciągał do siebie. Pomyślałyśmy, że łatwo będzie w nim się ukryć, ponieważ Niemcy nie zbliżą się do cuchnącego miejsca. Siostra z dzieckiem natychmiast wskoczyła do wnętrza. Ja byłam jedną nogą w śmietniku, gdy wtem zauważyłam leżącą na ziemi czworokątną pokrywę. Raptownie wyciągnęłam nogę ze skrzyni i zwracając się do siostry krzyknęłam:

- Wyjdź!

Chwyciłam rączkę żelaznej pokrywy i z całych sił uniosłam ją w górę. Rachela z dzieckiem opuściła się w głąb piwnicy, ja zaraz za nimi. Pokrywą zasłoniłam właz. Znalazłyśmy się w podziemnym pomieszczeniu kloacznym, nad którym stały klozety. Cienkie promienie światła przenikały do wnętrza przez szczeliny żelaznej pokrywy. Skurczone siedziałyśmy na ziemi, trzymając dziecko na kolanach.

Równo o godzinie 10 usłyszałyśmy włamujących się esesmanów, którzy po chwili biegali już po podwórzu. Dzikimi, zwierzęcymi krzykami i strzelaniną rozpoczęli polowanie na Żydów. Każdego znalezionego rozstrzeliwali na miejscu. Rzeź Żydów w magazynie "Pulsa" trwała około piętnastu minut. Dla nas oznaczało to wieczność. Przez dłuższy czas akcja przeprowadzana na naszym podwórzu i na przyległej ulicy odbijała się echem. Skulone z bólu i strachu, leżałyśmy

wysłuchane w strzały skierowane do kloaki tuż nad naszymi głowami. Z głębi serca wrywały się nam bezdźwięczne słowa: “Szema Israel - Słuchaj, Izraelu”, słowa wypowiedane w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa.

W tej piwnicy zostaliśmy cały dzień. Ciemność stawała się coraz gęstsza. Nagle żelazna pokrywa uniosła się w górę. Przed nami ukazała się ta sama kobieta, która nas uratowała rano. Była dozorczynią magazynów “Puls”. Trzymając w ręku latarkę wzywała nas do opuszczenia piwnicy. Kiedy wyszliśmy, oświadczyła:

- Wszyscy Żydzi, którzy ukryli się tutaj w pustych beczkach, już pół godziny temu dotarli do pobliskiego muru, skąd można przedostać się na aryjską stronę. Teraz właśnie Polacy, którzy pozostali w getcie, mogą je legalnie opuścić i udać się do domu. Może i wy znajdziecie szansę, żeby wraz z Polakami przedostać się na drugą stronę. Spieszcie się. Idźcie do bramy.

Doprowadziwszy nas do furtki dodała:

- Szukałam was po wszystkich zakamarkach, nawet w stojących na podwórzu żelaznych pustych beczkach. W końcu zrozumiałam, że jesteście w tym śmierdzącym dole.

Błyskawicznie otworzyła furtkę i wskazała drogę do zbawczego muru. Do głębi wzruszone, uściskałyśmy ją, a napływające do oczu łzy uwięzły nam w gardle. Również ona była bardzo wzruszona. Po serdecznym pożegnaniu zamknęła na klucz furtkę. Drżałyśmy jak w malarii. Umęczone wlokłyśmy się do przodu. I kiedy stukot kroków ludzi odbijał się echem w naszych uszach, szliśmy w kierunku, skąd echo się rozlegało.

Pod osłoną ciemności wkradłyśmy się cicho do szeregu Polaków stojących przed wyjściem. W przejściu na aryjską stronę stał esesman i dwaj polscy policjanci - specjaliści od rozpoznawania Żydów. Do nich należała decyzja czy też wyrok, kto jest Żydem. Wartownicy co chwila ręcznymi reflektorami oświetlali długi szereg wystraszonych Polaków. Esesmani kierowali światło wprost w oczy stojących ludzi. Od czasu do czasu rzucali reflektor na całą długość muru. Kiedy pasmo takiego światła mignęło w moich wytrzeszczonych oczach, dostrzegłam przy murze kilku mężczyzn odłączonych od reszty. Wśród nich rozpoznałam ojca z synem, z którymi siedziałyśmy rano w magazynie firmy “Puls”. Odczułam ich strach i cicha modlitwa rwała mi się z serca: by “specjaliści” od Żydów ulegli oślepieniu podczas sprawdzania ich tożsamości. . .

Widok ojca z synem przy murze przypomniał mi o fotografii mojej mamy, którą przez cały czas przechowywałam za dekoltem. Ogarnęła mnie trwoga. Jeśli przeprowadzą osobistą rewizję i znajdą fotografię, wszystko się wyda. Wyciągnęłam zdjęcie i opuściłam je na ziemię, nogą odsunęłam od siebie. Moja Rachela stała zapatrzona w Lusię, swoje jedyne dziecko. Przechodziła cierpienia Hioba. Tymczasem coraz bliżej przesuwałyśmy się do przejścia. Obie wciągnęłyśmy głęboko powietrze w płuca, wyprostowałyśmy plecy, śmiało zadarłyśmy głowy i stanęłyśmy przed

esesmanem. Hitlerowiec był wysokiego wzrostu. Gębę miał ognistoczerwoną. W jednej ręce trzymał rewolwer, w drugiej latarkę. Co chwila oświetlał nasze twarze. Zapalał latarkę, gasił, znowu zapalał i znowu gasił. Zatrzymał światło na twarzy Lusi i pogroził:

- Jeśli to żydowskie dziecko, natychmiast je na twoich oczach zastrzelę.

- To jest moje dziecko, jesteście chrześcijankami - odpowiedziała śmiało moja siostra.

Hitlerowiec odwrócił się wtedy do swego polskiego pomocnika i zapytał:

- Czy to Polki?

Policjant przyglądał się długo mojej siostrze, skierował na nią światło, badał wzrokiem, jakby chciał znaleźć jakiś "grzech". Rachela zdawała sobie sprawę z jego intencji. Podniosła dłoń pokazując ślubną obrączkę na palcu. Dla tego eksperta było jasne, że wkrótce będzie ona należała do niego. Pałką wskazał przejście na drugą stronę. Mijając policjanta Rachela wsunęła dyskretnie obrączkę do jego ręki. Mogła wreszcie odetchnąć i ucałować Luśkę.

Lekki kroki szłyśmy naprzód, rozglądałyśmy się. Szczęście nam dopisało, niedaleko muru pojawiła się ryksza. Wsiadłyśmy do niej podając adres, pod który miała nas zawieźć. Ledwo zdążyłyśmy podać rykszarzowi ulicę, gdy wtem przed nami jakby spod ziemi wyrósł wysoki mężczyzna o blond włosach i zakazanej twarzy. Bez pytania przysiadł się do nas i zawołał:

- A stąd na Pawiak?

Było dla nas jasne, że mamy do czynienia z konfidentem albo szmalcownikiem, szantażystą. O niektórych Polakach, ciemnych typach, którzy kręcą się po wszystkich ulicach Warszawy, słyszałam jeszcze w getcie. Początkowo nie odpowiedziałyśmy na jego groźby. Pierwsza zareagowała Rachela, wyjęła z torebki banknot pięćsetzłotowy i podała mu. Opryszek wsunął banknot do kieszeni i dalej groził Pawiakiem. Zaczęłyśmy go błagać, przekonywać, że więcej pieniędzy nie mamy przy sobie. Zaproponowałyśmy, żeby pojechał z nami do domu, a jutro z samego rana spotkamy się w bramie i sownie go wynagrodzimy.

Szmalcownik przystał na to i pojechał razem z nami. Kiedy ryksza zatrzymała się przed domem, szantażysta pierwszy wyskoczył i zniknął nam z oczu.

Rachela z dzieckiem pośpiesznym krokiem podeszła do bramy, zadzwoniła. Dozorca otworzył bramę. Na widok naszych zabiedzonych postaci zapalił latarkę, obejrzał nas i natychmiast zrozumiał, skąd przybywamy.

- Do kogo? - zapytał.

- Do naszych znajomych, do państwa Kopczyńskich - odpowiedziała siostra.

Dozorca zatrzymał się na podwórzu, oglądając się za nami, ciekaw, do kogo wchodzimy. Weszłyśmy na drugie piętro, gdzie mieszkała pani Kopczyńska z dwiema córkami. Jej dwaj bracia często przychodzili do getta, żeby za niewielką cenę kupować biżuterię. Mąż Racheli dobrze ich

znał, nieraz sprzedawał im cenne rzeczy, ubrania. Szwagier mój miał także zamiar, jak każdy Żyd w owym czasie, nawiązać podczas tych transakcji bliższe kontakty z Polakami po drugiej stronie muru, aby w godzinie próby, w czas nieszczęścia uzyskać pomoc dla kogoś z rodziny, a przede wszystkim dla dziecka, które można by przerzucić na aryjską stronę. Przy ostatnim spotkaniu z braćmi Kopczyńskiej szwagier dostał adres ich siostry. Obiecali "urządzić" nas wśród Polaków.

Teraz stałyśmy pełne strachu przed drzwiami rodziny Kopczyńskich. Lekko zastukałam i drżąc z niepokoju czekałam na głos z wewnątrz. Obok mnie stała w milczeniu Rachela z dzieckiem. Powoli uchyliły się drzwi, stanęła w nich kobieta. Gniewnym głosem zapytała:

- Czego chcecie o tak późnej porze?

- Jesteśmy znajomymi pani braci. Bardzo panią prosimy o udzielenie nam noclegu na tę jedną jedyną noc - błagała Rachela.

- Nie, tego nie zrobię. U mnie mieszka oficer niemiecki.

Powiedziawszy to zamknęła przed nami drzwi. Stałyśmy przez chwilę na korytarzu, poniżone, zawstyżone, nieme z rozpacz, nieszczęśliwe. Na palcach zeszyliśmy na podwórze. Zobaczyłyśmy dozorcę, stał i śledził nasze kroki. Ze łzami w oczach zaczęłyśmy go błagać:

- Drogi panie, kochany panie, pozwól nam tu przenocować z tym małym dzieckiem. Zlituj się nad nami!

- Zaczekajcie, zaraz dam wam odpowiedź.

Dozorca wszedł do swojego mieszkania, po kilku minutach wrócił z kluczem w rękę.

- Chodźcie za mną!

Zaprowadził nas do bocznych drzwi, otworzył je, poświecił zapalką i wskazał nam trzy stopnie schodów, na których mogłybyśmy przenocować. Z trudem udało nam się jakoś rozmieścić na wąskich, zimnych, kamiennych schodkach. Lusię trzymałyśmy na przemian na kolanach. Dozorca jeszcze raz poświecił zapalką. Życząc nam dobrej nocy wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

W tej komórce na stopniach schodów było ciemno, zimno i duszno. Pozostałymi okruchami chleba i łykiem wody Rachela nakarmiła Lusię, która od razu zasnęła. Siostra nieludzko zmęczona również zaczęła drzemać. Raz po raz słychać było jej westchnienia.

Dla nas ta ciasna, koszmarna komórka była jak deska ratunku dla pasażerów tonącego na wzburzonym morzu okrętu. I chociaż pragnienie snu stawało się coraz mocniejsze, nie poddałam się. Tysiące myśli chodziły mi po głowie. One pomogły mi zwalczyć sen. Myśli były różne. Jedna goniła drugą. Zalewały mnie niczym fale na spienionym morzu. Nagle przypomniałam sobie, że w pończosze schowałam świstek papieru, który wręczyła mi moja druga siostra, Renia, zanim ze swoim synkiem Stasiem przeszła z getta na aryjską stronę. Na papierku był napisany adres, pod

którym można było nie tylko dowiedzieć się czegoś o niej, ale też znaleźć pomocną dłoń.

Wyjęłam karteczkę z pończochy i chociaż w ciemności nie mogłam odczytać adresu, poczułam, że kamień spadł mi z serca.

Noc spędzona w komórcie przyniosła nam odrobinę spokoju. Wzmocniła w nas chęć walki o życie.

Nagle pukanie w drzwi przeraziło nas. Dozorca otworzył drzwi i zobaczyliśmy światło dzienne.

- Jest już ósma godzina. Najwyższy czas opuścić dom - powiedział.

Wstałyśmy, wyprostowałyśmy kości i podziękowałyśmy za uczynioną łaskę.

Na ulicy nie było widać żadnych oznak wojny. Tylko my z naszymi bladymi twarzami, niespokojnymi oczami wyróżniałyśmy się z tłumu. Szłyśmy jednak dziarsko i starałyśmy się nie myśleć o niebezpieczeństwach czyhających na nas ze strony konfidentów, od których roily się warszawskie ulice. Oni polowali na Żydów, więc kroczyłyśmy jak na rozżarzonych węglach. Wreszcie dotarłyśmy do domu, w którym mieszkała rodzina Pinkiewiczów.

Przyjemnie było wejść do jadalni, usiąść przy stole i czekać na gospodynię, której chwilowo nie było w domu. Tymczasem pokrzepiłyśmy się gorącą herbatą. Wkrótce zjawiała się pani Pinkiewicz.

- Widzę, że jesteście siostrami Ireny, jesteście do niej podobne - powiedziała.

Poprosiłyśmy ją o pomoc w znalezieniu pokoiku po aryjskiej stronie, ale Pinkiewiczowa od razu oświadczyła:

- U mnie nie możecie pozostać. Nie mam warunków. Jeśli chcecie dokądś wyjechać, załatwię wam bilety kolejowe i odprowadzę na dworzec.

Weszłyśmy z Rachelą do łazienki. Umyłyśmy się, uczesały i umalowały. Nabrałyśmy innego wyglądu. Potem pojechałyśmy na dworzec. Tu Pinkiewiczowa w pośpiechu obróciła się na pięcie i tyleśmy ją widziały. Jazda pociągiem bez biletów w tym czasie była niebezpieczna nawet dla Polaków. Częste obławy, łapanie na przymusowe roboty, aresztowania oraz inne represje stosowane wobec cywilnej ludności zmuszały do zachowania czujności. Siedziałyśmy w przedziale przejęte głębokim strachem. Modliłyśmy się, aby nikt nie zaczął nas podejrzewać i nie zażądał od nas okazania dokumentów.

Jechaliśmy do naszych Rodziców do Opoczna, rodzinnego miasta Tatusia. Rodzice po wybuchu wojny przyjechali tutaj z Łodzi.

Nasze pojawienie się w Opocznie przeraziło Rodziców. Wszyscy młodzi Żydzi z miasta zostali już rozstrzelani. Pozostali przy życiu starsi, chorzy modlili się tylko o lekką śmierć.

Mój Tata był mężczyzną w średnim wieku, szczupłym, o czarnych płonących oczach,

kiedyś pełen inicjatywy, kupieckich pomysłów, prostolinijny, pracowity i niezwykle odpowiedzialny. Teraz wyglądał na starca. Pochylił się i zgarbił. Oczy utraciły dawny blask, twarz była porwana zmarszczkami. Milczał. Z trudem uniósł głowę, żeby popatrzeć na swoje córki i wnuczkę. Po dawnej dumie nie pozostało śladu. Cały jego wygląd świadczył o niewysłowionych mękach duchowych.

Mama pochodziła z rodziny rabinackiej. Była blondynką o pięknych, gęstych włosach i niebieskich oczach. Taktem, delikatnością i wysoką inteligencją wyróżniała się spośród wszystkich naszych znajomych. Teraz była siwiuteńka jak gołąbek. Cierpienia porysowały jej twarz. Cała postać tchnęła wielkim smutkiem i rezygnacją.

Rodzice zajęli się nami. Na każdym kroku odczuwałyśmy ich głęboką miłość. Mamusia starała się dogodzić nam we wszystkim. Ciągłe wyszukiwała dla nas coś dobrego do jedzenia. Tatuś nie wypuszczał wnuczki z rąk. Karmił ją, głaskał, nie przestawał całować jej paluszków.

Często zapadało milczenie. Rodzice siedzieli jakby pogrążeni w żałobie. Zadumani, przebywali myślami gdzie indziej. W ich oczach czaił się bezbrzeżny smutek. My, siedząc naprzeciw, wpatrywałyśmy się w nich nieprzerwanie. Chciałyśmy wyryć i zapisać w pamięci ich wygląd, cierpienie i miłość.

Zapadła noc. Lusja zasnęła na kolanach Dziadka, a my umęczone i wyczerpane przeżyciami usnęłyśmy na siedząco.

Nad ranem następnego dnia Tatuś, przypomniał sobie, że Polak, który kupował już u niego wiele rzeczy, ma wkrótce przyjść do getta i chyba do nas też zawita. Zaświtała nam iskierka nadziei. Być może za jego pośrednictwem uda się zdobyć dla nas polskie metryki. Minęło kilka dni, ale ów Polak nie przychodził. Nadzieja się rozwiała, na jej miejsce wrócił strach przed ostatnią hitlerowską akcją.

Rodzice spakowali resztki swego dobytku. Zrobili dwie paczki, żebyśmy w każdej chwili miały je pod ręką i mogły zabrać ze sobą na drogę.

Nastrój w domu stał się grobowy. Czułyśmy wyraźnie, że zbliżają się nasze ostatnie wspólne chwile.

Rodzice, zamknięci w sobie, chcieli przed nami ukryć pesymistyczne myśli i rozpacz, my zaś starałyśmy się nie obnażać przed nimi jątrzącego nas strachu, lecz przeciwnie, okazać optymizm, wiarę w lepsze jutro. Pewnego ranka zjawił się niespodziewany posłaniec od mojej siostry Reni, która mieszkała wtedy w Milanówku pod Warszawą. Posłaniec, pan Tadek, był zięciem rodziny Bartkowiaków, u których mieszkała siostra z synkiem. Przywiózł dla mnie metrykę na nazwisko Elżbieta Rutkowska. Od niego dowiedzieliśmy się, że Renia stara się znaleźć metrykę również dla Racheli. Tadek, patrząc na moją Mamusię, odważył się zapytać:

- Z takim wyglądem mogłaby pani uchodzić za Polkę. Czy jest pani skłonna opuścić getto?

- Ja męża nigdy nie zostawię! - powiedziała Mamusia.

Rodzice podziękowali panu Tadeuszowi za pomoc, wynagrodzili go i wyrazili nadzieję, że może wkrótce znowu się zjawi z dokumentami dla Racheli.

Przed pożegnaniem Mama podała mi przygotowaną wcześniej paczkę z ubraniami. Tatuś włożył do wszytej w ubranie kieszeni paczuszkę z częścią biżuterii należącej do Mamusi. Pożegnałam się z najdroższymi. . .

Rodzice, Rachela z dzieckiem stali wyprostowani, a napływające łzy dławiły ich w gardle. Tatuś nie mógł wydobyć z siebie słowa. Po dramatycznym milczeniu Mamusia i Tatuś złożyli ręce na mojej głowie i pobłogosławili. Spośród tych wielu błogosławieństw zapamiętałam słowa Mamy, brzmiały bowiem dobitnie jak żądanie:

- Dziecko moje, nie myśl o nas, bądź mężna, dzielna i silna w walce o życie!

Objęłam ich i po raz ostatni całowałam ich ręce.

Rozdział drugi

Pociąg przyjechał do Kuluszek, jednej z większych stacji węzłowych. Stąd odjeżdżały pociągi w różnych kierunkach kraju. Mieliśmy się przesiąść do pociągu jadącego do Warszawy. Stałam obok Tadka na peronie i dyskretnie mu się przyglądałam.

Wokół nas kręcili się pasażerowie-Polacy. Prości ludzie, wśród których nie brakowało plebsu lub zwykłej hołoty. Moja śmiertelnie blada twarz, oczy nabrzmiałe strachem mogły wzbudzić w nich podejrzenie. Nic dziwnego, że czułam, jakby grunt palił mi się pod nogami.

Nagle rozległ się gwizd niespodziewanie nadjeżdżającego pociągu. Do lokomotywy przyczepione były czerwone wagony towarowe. W każdym wagonie było małe czworokątne wycięcie. Były to wagony przeznaczone do przewozu bydła. Podczas krótkiego postoju pociągu zauważyłam w otworze okiennym jednego z wagonów twarz młodej dziewczyny o blond włosach ułożonych w loki. Wystawiła na zewnątrz rękę z butelką i błagalnym głosem zwróciła się do stojących na peronie Polaków:

- Błagam was, napełnijcie butelkę wodą. Umieramy z pragnienia i braku powietrza. Proszę was, zlitujcie się nad nami.

Pasażerowie na peronie na widok transportu Żydów rozgadali się:

- Popatrzcie, to Żydzi wiezieni na śmierć.

Inni zaczęli się śmiać i żartować:

- Oto oni, Żydzi, zrobią z nich mydło!

Wyrwałam się, żeby podbiec do dziewczyny w wagonie, złapać butelkę i napełnić ją wodą. Żał mi było tych nieszczęśników w pociągu, ale wiedziałam, że i na mnie czyha śmierć.

Ze wszystkich sił powstrzymałam rwące się do biegu nogi. Po kilku minutach pociąg z umęczonymi Żydami ruszył w kierunku ich przeznaczenia, do komór gazowych obozu zagłady.

Przez dłuższą chwilę nie mogłam otrząsnąć się z widoku tego transportu śmierci. Poczulałam się nagle jak robaczek, którego każdy przechodzący może bezkarnie stratować.

Z bolesnego odrętwienia wyrwał mnie gwizd nadjeżdżającego pociągu. Tadek dał mi znak, że to kolej do Warszawy. Wsiedliśmy do najbliższego wagonu. Przez cały czas udawaliśmy, że się nie znamy. Nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Myśli o moich najbliższych, którzy pozostali w cieniu śmierci, dręczyły i rwały serce. Z Warszawy pojechaliśmy kolejką do Milanówka, do rodziny Bartkowiaków. W podmiejskim wagonie trzymałam Tadka za rękę, aby czuć się pewniejszą i uniknąć podejrzenia.

Pan Bartkowiak, gospodarz domu, był z zawodu maszynistą kolejowym. Jego żona, z pochodzenia Niemka, wyglądała na osobę dobroną i sympatyczną.

Renia na mój widok niezmiernie się ucieszyła. Z trudem starała się powstrzymać spływające po twarzy łzy. Widać było, że bardzo tęskni za bliskimi. Przez dłuższy czas siedziałyśmy nie odrywając od siebie oczu. Wyczułam, że ją trapi jakaś głęboka troska. Nie wiedziała, jak ma mnie urządzić. Oprócz tego istniało jeszcze wiele powodów, które spędzały jej sen z powiek. Miała nad czym rozmyślać.

Tymczasem zapadła noc. Siostra przygotowała mi łóżko w kuchni. Było tutaj ciepło, swojsko i bezpiecznie. Była to jedna z nielicznych nocy wolnych od napięcia, lęku i drgawek.

Nazajutrz rano obudziłam się pełna nadziei i sił do życia po aryjskiej stronie. Obawiałam się jednak, czy ja, młoda, wrażliwa, o łagodnym i cichym usposobieniu, potrafię żyć jak śmiała, odważna, nie znająca strachu i nerwowości Polka. Wiedziałam, że moje wystraszone oczy, pełne żydowskiego smutku i żalu, muszą nabrać pogodnego, spokojnego wyrazu.

Szybko mijał czas wspólnego mieszkania z siostrą i Stasiem. Były to dni miłości rodzinnej, która łagodziła cierpienia wczorajsze, pozwalała zapomnieć o gorszym jutrze i przyćmiła na chwilę troski. Zdawało nam się, że pozostaniemy na długo w Milanówku. Pewnego jednak dnia zjawił się mąż Reni. Widząc mnie, doszedł do wniosku, że Renia troszczy się przede wszystkim o swoją rodzinę. Był tym oburzony i oświadczył, że wkrótce opuści getto i zatrzyma się u Bartkowiaków razem z żoną i dzieckiem. Dlatego zażądał od nich usunięcia mnie z domu.

Renia, usłyszawszy słowa męża, bardzo się zawstydziła. Nic nie mówiąc objęła mnie i uścisnęła. Powstały konflikt przyjęłyśmy jako fatalny wyrok przeznaczenia.

Siostra dobrze знаła okolice Milanówka, następnego dnia udała się na poszukiwanie jakiegoś schronienia dla mnie. Po kilku godzinach wędrówki natrafiła na "gospodarski" dom w sąsiedniej wsi Grudów. Córka gospodarzy zgodziła się wynająć mi pokój.

Renia uradowana wróciła do domu z dobrą nowiną. Pokój w sąsiedniej wsi umożliwił częste spotkania.

Jeszcze tego samego dnia przeprowadziłam się do Grudowa. Moim nowym schronieniem był duży pokój z wysokimi, szerokimi oknami wychodzącymi na skrzyżowanie dwóch szos. Były one dla mnie źródłem strachu. Każdy przechodzień mógł mnie zobaczyć.

Następnego dnia rano wyszłam z domu, żeby rozejrzeć się po podwórku i zorientować się, jacy ludzie mieszkają w tym dużym gospodarstwie. Najpierw zapukałam do gospodarzy, rodziców Marysi, która wynajęła mi pokój. Marysia nie była chłopką. Miała maniery miejskie. Jej ciepły głos działał na mnie uspokajająco. W czasie pierwszej rozmowy opowiadała mi o sąsiadach.

Po wyjściu od Marysi spotkałam na podwórku chłopca w wieku dwóch-trzech lat, który dziwnie się zachowywał. Objęłam go, zapytałam, gdzie są jego rodzice. Malec podbiegł do pobliskiego domu, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. W obawie, że chłopczyk na widok obcej

osoby, jaką byłam dla niego, może się rozplakać, zaczęłam go głaskać po główce. Rozczesując mu włosy dotknęłam palcami parcha. Pomyślałam wtedy, że mogłabym zająć się tym zaniedbanym chłopcem. Siedzieć beczynnie w domu nie mogłam i nie chciałam. Zresztą uważałam, że nie wolno mi tak żyć. Mogło to wzbudzić podejrzenia. Powinnam pracować. Praca poprawi moje samopoczucie i zmniejszy tkwiący we mnie strach. Postanowiłam poznać rodziców chłopczyka.

Tego samego wieczora odwiedziłam ich. Po zapoznaniu się z państwem Sandomierskimi opowiedziałam im o sobie. O tym, jak podczas bombardowania Warszawy straciłam moich bliskich i dach nad głową. Obecnie mieszkam u pani Marysi w sąsiedztwie. Ponieważ mam dużo wolnego czasu, chętnie pomogę im w wychowaniu synka Zdziśka. Wiedziałam, że praca poza domem zabiera im cały dzień.

Biedni rodzice z radością wyrazili zgodę. Po dłuższej rozmowie nawiązaliśmy serdeczniejszy kontakt. Postanowiono, że od następnego dnia zajmę się wychowaniem dziecka.

Nazajutrz rano Sandomierska wręczyła mi klucze do mieszkania i wraz z mężem udała się do pracy. Wzięłam chłopczyka na ręce i od razu poczułam się pewniejsza. Wydawało mi się, że trzymam dziecko mojej siostry, za którym bardzo tęskniłam.

Pracę zaczęłam od oczyszczenia główki Zdziśka. Umyłam ją, zaczesalam włosy, nasmarowałam oliwą i różnymi maściami. Powtarzałam ten zabieg dzień po dniu, wkrótce parch zaczął ustępować. Zmniejszył się, aż prawie zniknął. Zdzisiek stał się weselszy, zaczął łągnąć do mnie. Często zabierałam go do mojej gospodyni Marysi. W jej mieszkaniu czułam się pewniejsza, swobodniejsza, bardziej odprężona. To pozwoliło mi wcielić się w Elżbietę Rutkowską. Jednocześnie zachowałam ostrożność, musiałam pamiętać, że nie wszystko wiem i rozumiem, lepiej trzymać język za zębami.

W czasie kolejnej wizyty u Marysi dowiedziałam się, że powinnam zameldować się w urzędzie gminnym, znajdującym się pięć kilometrów od Grudowa. Zostawiłam Zdziśka na jeden dzień bez opieki i udałam się do urzędu gminnego. W sekretariacie przedstawiłam metrykę i wypełniłam formularz dotyczący mego zamieszkiwania w Grudowie. Przy tej okazji udało mi się także uzyskać i wypełnić formularz potrzebny do otrzymania metryki dla mojej siostry Racheli na nazwisko Zofia Lewandowska.

Po powrocie z urzędu zastałam Renię oczekującą mnie przed domem. Była to jej pierwsza wizyta po mojej przeprowadzce. Miałam dla niej mnóstwo nowin: jest szansa uzyskania metryki dla Racheli, znalazłam pracę przy wychowaniu dziecka sąsiadów, nawiązałam znajomość i bliski kontakt z Marysią, która jest bardzo rozmowna i chętna do udzielania dobrych rad. Renia była szczęśliwa słysząc dobre wiadomości. Opowiedziała mi o sytuacji Żydów w getcie, która uległa znacznemu pogorszeniu, o swoim synku, na którego musi bardzo uważać, bo wrywa się do dzieci

na ulicy. Najbardziej ją gnębi los rodziców i Racheli. Opowiadała również o prozaicznych szczegółach swojego życia u Bartkowiaków. Nie zapomniała też przynieść dla mnie ciepłej stawy, którą się pokrzepiłam.

Chwile spędzone z siostrą minęły szybko. Po jej odejściu poczułam znowu ciężar w sercu. Stałam w oknie i patrzyłam, aż zniknęła mi z oczu. Spojrzałam na kalendarz. Była sobota 26 września. Starłam się zapomnieć o sobocie i przygotować do niedzieli. Nazajutrz rano weszłam do Marysi, aby spędzić trochę czasu poza ścianami mojego pokoju. Usiadłam na moim stałym miejscu, tuż obok Marysi i jej matki.

Nagle usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Weszła starsza kobieta w czarnej sukni, lekko pochylona, z paczką w ręku. Rozejrzała się i pozdrowiła nas: - Niech będzie pochwalony. . . - Potem usiadła przy stole naprzeciw mnie. Po chwili otworzyła paczkę, zaczęła wyjmować z niej różne rzeczy do sprzedania. Na mnie nie spojrzała ani razu. Jakbym w ogóle nie istniała. Za to ja mogłam dokładnie jej się przyjrzeć.

Janina Bagińska - tak nazywała się ta kobieta - wyglądała na sześćdziesiąt lat, aczkolwiek, jak się później dowiedziałam, nie miała jeszcze, pięćdziesiątki. Była bardzo chuda, mizerna. Średniego wzrostu, z siwymi włosami, zgarniętymi do tyłu za uszami. Twarz śniada o wysokim czole, spod którego wyglądały duże wygasłe, niebieskie oczy, wyrażające dobroć i miłość. I mimo cienia smutku, od czasu do czasu rozjaśniały się uśmiechem. Kościste ręce z wypielęgnowanymi paznokciami. Głos miała cichy i błagalny. Cała tchnęła prawdą i szczerością. Była delikatna w zachowaniu. Intuicyjnie wyczułam, że powinnam się do niej zbliżyć.

Pani Janina zadowolona ze sprzedania paru rzeczy szykowała się do wyjścia. Powiedziała, że za tydzień znowu przyjdzie. Ponieważ chciałam od razu nawiązać z nią kontakt, zaproponowałam, że ją odprowadzę. W odpowiedzi usłyszałam słowa:

- Ależ bardzo proszę.

Wyszliśmy razem na ulicę. Janina Bagińska szła wolnym krokiem. Było mi trudno iść wolno. Czułam bowiem wewnętrzny niepokój, który zmuszał mnie do pośpiechu. Starłam się jednak opanować i dostosować do niej. Szłyśmy w kierunku Milanówka, gdzie mieszkała.

Po minutach milczenia Janina zaczęła mówić o sobie. Nie wyszła za mąż, ponieważ ślubowała wieczną miłość Jezusowi. Nie jest szczególnie praktykująca, do kościoła chodzi rzadko. Należy do tych katolików, którzy miłość do Boga starają się wyrażać w dobrych uczynkach. Pomagają biednym, odwiedzają chorych i nieszczęśliwych. Podczas okupacji przyciągnęła do swego mieszkania kobietę z dwojgiem dzieci, uciekinierów z Warszawy. Na swoje barki wzięła ciężar utrzymania całego domu. Zarabia zbyt mało jako krawcowa, dlatego musi jeszcze w niedzielę zajmować się drobnym handlem. Ma swoich klientów, którzy jej pomagają. Należy do nich także

rodzina Marysi.

W tym momencie Janina przerwała swoje opowiadanie i wnikliwym wzrokiem popatrzyła na mnie. Wyglądało na to, że teraz oczekuje zwierzeń ode mnie. W powściągliwych, krótkich słowach opowiedziałam jej, że jestem uciekinierką z Warszawy i staram się znaleźć jakąś pracę.

Janina wykazała zrozumienie, obiecała pomoc i zaprosiła do siebie w każdym dogodnym dla mnie czasie.

Droga powrotna do Grudowa minęła mi szybko. Byłam pod wrażeniem dobroci i szczerości Janiny. Weszłam do mego pokoju. Było w nim pusto i smutno. Samotność biła ze wszystkich ścian. Usiadłam. Chciałam zanurzyć się w przyjemnych, pogodnych myślach, które Janina we mnie wzbudziła. Zastanawiałam się nad naszym przypadkowym spotkaniem. Chciałam poznać ją bliżej. Pragnęłam zobaczyć ją w domu, przy pracy, w dniu powszednim i w niedzielę.

Podczas tych częstych wizyt zadzierzgnęła się między nami nic prawdziwej przyjaźni. Poznałam współmieszkańców Janiny, panią Krystynę i jej dwóch synów. W ich mieszkaniu było przyjemnie, ciepło, serdecznie. Na jej twarzy zawsze gościł uśmiech. Bardzo dbała o swoich domowników, starała się przede wszystkim, aby dzieci miały co zjeść. Było jej ciężko, ale nigdy się nie skarżyła. Natomiast Krystyna i jej chłopcy zachowywali się tak, jakby byli gospodarzami jej mieszkania. Odnosili się do niej w bezczelny sposób. Janina to wszystko tolerowała. Krystyna była kobietą z natury złą, często miewała pretensje do Janiny, że mało zarabia. Chłopcy mimo szkolnego wieku wychowywali się na ulicy.

Im dłużej obserwowałam Janinę, tym bardziej ją ceniłam. Polubiłam ją jak kogoś bardzo bliskiego, przed którym będę mogła otworzyć serce. W każdą niedzielę rano czekałam na nią u Marysi. Od czasu do czasu zachodziła również do mnie. Wtedy mogłyśmy swobodnie rozmawiać. Stopniowo zaczęła mi opowiadać o ludziach, wśród których mieszkałam. Stwierdziła, że są to prości, zazdrośni plotkarze. Zrozumiałam wtedy, że Janina wie, kim jestem i co mi grozi. Tym bardziej pragnęłam jej przyjaźni. Każde spotkanie z nią dodawało mi wiary i ufności. Czułam, że w razie niebezpieczeństwa mogę liczyć na jej pomoc.

W sobotę zazwyczaj przychodziła do mnie Renia. Wiedziała o moich spotkaniach z Janiną, była szczęśliwa, że mam tak wspaniałą przyjaciółkę. Żyłyśmy przecież w okrutnych czasach. Znalezienie człowieka o takich zaletach charakteru było wielkim szczęściem. Wizyty Reni trwały krótko. Przychodziła bez Stasia, ponieważ tak było bezpieczniej. Dlatego też siedziała u mnie zawsze zdenerwowana i zniecierpliwiona. Co chwila patrzyła na zegarek i w wielkim pośpiechu wracała, pieszo do synka.

Pewnego październikowego dnia pobiegłam na pocztę w Milanówku. Ku memu zaskoczeniu urzędniczka podała mi list od Mamusi, zaadresowany na moje obecne nazwisko

Elżbieta Rutkowska, poste restante. Mama pisała, że od kilku tygodni Rachelą z Lusią mieszka w Częstochowie u dobrych, zacnych znajomych. Spośród kilku wysłanych listów Mamusi tylko jeden dotarł do mnie. Schowałam go za ściennym zegarem, obchodząc się z nim jak z relikwią. W ciężkich chwilach czytałam go, a wtedy wydawało mi się, że czuję głaszczącą mnie po głowie rękę Mamy.

Codzienna praca ze Zdziśkiem pozwalała mi trochę zapomnieć o strachu i ciężkich chwilach. Chłopczyk urwisowskim wdziękiem i łobuzerskimi sztuczkami wciągał mnie w swój dziecięcy świat, a gdy trzymałam w dłoni jego rączkę, zdawało mi się, że wokół mnie stoi ochronny mur.

Godziny lęku zaczynały się wieczorami. Przebywanie w pokoju bez światła napawało mnie melancholią, lękiem i tęsknotą. Szukałam wtedy bezpieczeństwa u sąsiadów za ścianą. Często mnie zapraszali. Pan Grzelec i jego żona byli starszymi ludźmi. Nie mieli dzieci. On był inwalidą z pierwszej wojny światowej. Stracił na froncie nogę i nosił protezę. Ona była miłą, skromną, pracowitą kobietą, wychowaną w mieście. Mieli koncesję na sprzedaż artykułów tytoniowych. Pan Grzelec był człowiekiem gadatliwym. Z przyjemnością opowiadał o swoich bohaterskich wyczynach na wojnie. Teraz nie żałował przekleństw pod adresem Niemców. W jadalni wisiał znany obraz przedstawiający klęskę Napoleona w Rosji. Stawał często przed nim powtarzając:

- Taka sama klęska czeka Führera!

Oby - pomyślałam.

Tygodnie mijały, moje zasoby pieniężne powoli kończyły się. Musiałam postarać się o pieniądze. Wyjęłam schowany pod bielizną pierścionek i zaniósłam do Janiny z prośbą o sprzedanie. Wiedziałam, że chętnie mi pomoże.

Tym razem zastałam ją podczas poobiedniej sjęsty. Poczęstowała mnie herbatą i deserem. Wtem wtargnęli obydwaj chłopcy Krystyny i zażądali od Janiny pieniędzy na słodycze. Gdy odmówiła, jeden z nich uderzył ją w twarz, a drugi pchnął ją tak mocno, że o mało nie spadła z krzesła. Janina poczuła się mocno zawstydzona, a gdy chłopcy wybiegli z domu, zaczęła ich bronić:

- To są dzieci wojny. One, biedne, nie są winne. Nie mogę niestety dać im tego, co im się słusznie należy.

Przełknęła ten incydent, tak jak połyka się gorzką pigułkę. Od razu wypogodziła twarz i odprowadzając mnie obiecała, że sprzeda jak najszybciej mój pierścionek. Nie brak amateerek na takie rzeczy.

W środku tygodnia niespodziewanie zjawiała się u mnie pani Bartkowiakowa, u której mieszkała moja siostra, i oznajmiła, że Irena-Renia nie będzie mogła mnie odwiedzać. Możliwe, że

nawet opuści Milanówek. Wiadomość ta zaszokowała mnie. Nie wiedziałam, co pocznę bez mojej siostry, wszak pomagała mi, myślała o moim bezpieczeństwie i moich potrzebach. Nie znałam przyczyny jej decyzji.

W sobotę jednak Renia mnie odwiedziła. Przeżyłam znowu chwilę szczęścia. Zaraz też zapytałam ją o przyczynę ostatniej wizyty pani Bartkowiakowej. Siostra ze smutkiem popatrzyła na mnie i powiedziała:

- Sytuacja w naszej okolicy pogorszyła się. Krążą o nas różne plotki, ale Bartkowiakowie znaleźli dla nas nowe miejsce azylu. Myślę, że i ty powinnaś poszukać pracy w Warszawie.

Potem Renia podała mi do przeczytania wycinki z gazet zawierające ogłoszenia z ofertami pracy w stolicy. Nie zastanawiając się długo obiecałam jej, że w najbliższych dniach pojadę do Warszawy.

Na jeden dzień zwolniłam się z pracy ze Zdziśkiem. Rano włożyłam na siebie płaszcz, zawiązałam chustę na głowie i wyruszyłam do kolejki podwarszawskiej. Wsiadłam do ostatniego, pustawego wagonu.

Pasażerowie bez przerwy rozmawiali o Żydach. Śmiali się, kpili i drwili z ich losu. Samotna w swoich rozmyślaniach przysłuchiwałam się ich ironicznym, bolesnym żartom. Starłam się nie odwracać wzroku od moich sąsiadów, ale w żaden sposób nie mogłam się razem z nimi śmiać.

Zdrętwiała z zimna dotarłam do Warszawy. Szybko ruszyłam pod wskazane w ogłoszeniach adresy miejsc pracy. U pierwszej rodziny, którą odwiedziłam, posada była już zajęta. U następnej poddana zostałam szczegółowemu przesłuchaniu. Nie spuszczano ze mnie oka. Nic dziwnego, że ogarnął mnie strach. Obiecała mi przysłać odpowiedź pocztą. Poprosili więc, abym podała im swój adres. Wykręciłam się oświadczeniem, że za dwa dni sama przyjdę do nich po odpowiedź.

Byłam rozgoryczona. Postanowiłam więc już nie korzystać z ogłoszeń prasowych. Wtem przypomniałam sobie adres aktorki Gruszeckiej - siostry Anity Birnbaum, z którą stałam podczas akcji na Lesznie przed wyruszeniem na Umschlagplatz. Jej słowa brzmią dotychczas w moich uszach.

- Cesium! Cesium. . . jeśli uda ci się wyjść z tego piekła, przekaż mojej siostrze, że mnie tu spotkałaś.

Natychmiast wsiadłam do tramwaju. Pojechałam pod wskazany adres. Miałam szczęście, ponieważ zastałam Gruszecką w domu. Przyjęła mnie serdecznie. Przekazałam jej wiadomość o tragicznym losie jej siostry Anity i rodziców. Rozmawiałyśmy z sobą jak rodzone siostry. O sobie opowiedziałam, że mieszkam pod Warszawą u prostych ludzi, opiekuję się dzieckiem sąsiadów i dlatego muszę spacerować i pokazywać się na ulicy. Okoliczni mieszkańcy mają możliwość oglądania moich żydowskich oczu. W ostatnich tygodniach wzmogły się w naszej okolicy

polowania na Żydów. Ponieważ czuję zbliżające się niebezpieczeństwo, muszę zawczasu zmienić miejsce pobytu. Prosiłam ją o pomoc w znalezieniu kąta, w którym mogłabym się schronić.

Pani Gruszecka doskonale zrozumiała moją sytuację. Ale na złodzieju czapka gore.

- Miesiąc temu - powiedziała - przyprawdzili do mnie małą dziewczynkę żydowską. Błagali nas, aby ją zaadoptować. Po trzech dniach cały dom szumiał o tym, że u nas znajduje się żydowskie dziecko. Szybko oddaliśmy je do klasztoru. Mój mąż był bardzo zaniepokojony o mnie. . .

Pani Gruszecka bardzo żałowała, że nie może mi pomóc. Zjadłyśmy razem smaczny żydowski obiad. Ze łzami w oczach objęła mnie, przeprosiła i pożegnałyśmy się.

W drodze powrotnej do Grudowa starałam się nie myśleć o czekających mnie trudnych dniach. Wiedziałam, że nie wolno mi tracić nadziei, że nie mogę poddawać się rozpacz i rezygnacji. I kiedy siedziałam w wagonie warszawskiej kolejki, przypomniały mi się słowa Mamy, które usłyszałam w czasach mojego dzieciństwa. Jako małe dziecko ciężko zachorowałam, mój stan był beznadziejny, cała rodzina stała bezsilna nad moją kołyską. Jedynie Mama nie traciła nadziei. Pocieszała wszystkich i napawała otuchą mówiąc, że dopóki człowiek żyje, nie wolno tracić nadziei. Tę nadzieję i wiarę odziedziczyłam po Mateczce.

Gdy weszłam do mego mieszkania, ogarnął mnie chłód. Samotność znowu dawała mi się we znaki. Próbowałam zasnąć. Nakryłam się kołdrą, ale czarne myśli uniemożliwiały mi sen.

Rankiem następnego dnia obudziłam się spokojniejsza. Ostrzeżenia Reni przed zaostrażającą się sytuacją w naszej okolicy nie dały mi jednak odetchnąć. Nie rezygnowałam z szukania nowego schronienia. Jedynym człowiekiem, któremu mogłam się zwierzyć i który mógł mi pomóc, była Janina. W niedzielę oczekiwałam jej z niecierpliwością w mieszkaniu mojej gospodyni. Janina przyszła jak zwykle, sprzedała swój towar, po czym wstąpiłyśmy do mego pokoju. Tym razem rozmawiałam z nią szczerze i otwarcie. Opowiedziałam jej o dramatycznej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Mówiłam o grożącym niebezpieczeństwie. Prosiłam ją o znalezienie dla mnie schronienia wśród jej znajomych i bliskich. Po uważnym wysłuchaniu mnie Janina bez zastanowienia oświadczyła:

- Teraz rozumiem lepiej twoją sytuację. Od jutra zacznę szukać miejsca, które zapewni ci przetrwanie. Szkoda twego młodego życia. Ponieważ mam do skończenia przed Wigilią kilka terminowych prac, sądzę, że za dwa tygodnie znajdę czas, żeby odwiedzić moją siostrę w Warszawie. Wierzę, że ona, od lat mieszkająca na Starym Mieście, znajdzie wśród swoich znajomych i klientów, dobrych ludzi, bezpieczny kącik dla ciebie.

Nadchodzący grudzień nie zapowiadał zmian na lepsze. Był tak samo smutny. Deszcze, wiatry, chłody. Nagie drzewa przed moim oknem drżały. Czekały widać na srebrnobiałe płaszcze

śnieżne, w które zawiną się i opatulą w czasie mroźnych dni.

W któryś z takich grudniowych dni, po pracy ze Zdzińskiem, wpadłam do Janiny. Chciałam jej pomóc przy wykańczaniu zamówionych robót. Lubiłam odwiedzać ją, bo w jej mieszkaniu czułam się dobrze. Chociaż było biedne, ale jakieś swojskie i przyjemne. Janina jak zwykle podtrzymywała mnie na duchu dobrym słowem. W pewnej chwili, kiedy zajęte byłyśmy wykańczaniem szycia, Janina dyskretnie szepnęła mi do ucha:

- Już rozmawiałam z siostrą. Ona wie, że będziemy u niej przed Wigilią. Dokładną datę ustalimy razem podczas mojej wizyty u ciebie w niedzielę.

Ponieważ było już późno, złapałam szybko płaszcz i pożegnałam się. Słowa Janiny wskrzesiły we mnie iskierkę nadziei. I chociaż zbity śnieg trzaskał pod nogami, nie czułam chłodu. Wydeptana wśród zwałów śniegu ścieżka prowadziła mnie do domu. Nagle potknęłam się o wystającą zmarzniętą bryłę, upadłam i chyba złamałam lewą rękę w przegubie. Zacisnęłam z bólu usta, bałam się pójść do lekarza.

Kiedy Renia przysłała do mnie i zobaczyła moją źle zawiniętą rękę, wzięła ręcznik i odkroiwszy z niego długi pas, dobrze mi ją zabandażowała. Opowiedziałam jej o wydarzeniach ostatnich dni.

Wysłuchawszy mnie, siostra zaczęła mówić o sobie. Jej mąż nadal przebywał w getcie. Podczas ostatnich odwiedzin u Bartkowiaków umówił się z nimi, że przeniosą się do wsi, w której mieszka brat Bartkowiakowej. Przed odejściem Renia napisała mi na karteczce swój nowy adres. Wręczając mi ją dodała:

- We wsi roi się od szpicli, którzy wyławiają ukrywających się Żydów, wyciskają z nich ostatni grosz, po czym oddają w ręce Gestapo. Postaraj się czym prędzej opuścić Grudów.

Słowa mojej siostry zabrzmiały jak wołanie SOS. Wiedziałam, że nie wolno mi zostać w Grudowie. Ponownie ogarnął mnie śmiertelny strach, który nie odstępował ani na chwilę. Nawet podczas zajęć ze Zdzińskiem nie czułam spokoju.

Ledwo doczekałam dnia, w którym pojechałyśmy z Janiną do jej siostry w Warszawie. W wagonie kolejki pasażerowie trzęśli się z zimna. Siedzieli mocno do siebie przytuleni. Kobiety miały głowy owinięte w chusty zachodzące aż na oczy. Z ust buchała para, roztopiająca warstwę lodu na szybach. Dla rozgrzewki wszyscy tupali nogami. Godzina tej jazdy pod opieką Janiny odprężyła mnie. Dolegliwości spowodowane ustawicznym lękiem powoli zaczęły ustępować. Kiedy w wagonie zapadła cisza, pasażerowie zaczęli drzemać.

W Warszawie w drodze do Starego Miasta wstąpiłyśmy do kościoła. Tak zdecydowała Janina. Byłam trochę niespokojna, ponieważ nie wiedziałam, jak mam się zachować w kościele. Janina nie zwracała jednak na mnie uwagi. Była cała pogrążona w modlitwie. Wychodząc na ulicę

powiedziała:

- Modliłam się za ciebie.

W mieszkaniu siostry Janiny czułam się jak wśród bliskich mi ludzi. Zaprosiła nas do stołu, podała ciepłą zupę. Po obiedzie obie siostry przeszły do drugiego pokoju, żeby zastanowić się, co dalej ze mną zrobić. Po kwadransie Janina wróciła z odpowiedzią:

- Mamy dla ciebie odpowiednie miejsce u przyjaciółki mojej siostry w Józefowie. Musimy jednak poczekać dwa tygodnie, aż zwolni się pokój.

Wzruszona, serdecznie im podziękowałam. Nie tracąc czasu razem z Janiną udałyśmy się w drogę powrotną. Ona do Milanówka, ja do Grudowa.

Noc Bożego Narodzenia 1942 roku spędziłam ze Zdziśkiem u jego rodziców. Tuż obok stołu stała mała choinka, ozdobiona błyszczącymi bombkami i gwiazdkami. Na stole były skromne tradycyjne potrawy. Mimo wojny i biedy nastrój był świąteczny. Po raz pierwszy w życiu miałam się podzielić opłatkiem. Z drzeniem serca obserwowałam gospodarzy, po czym zrobiłam podobnie. Godziny mijały i noc Bożego Narodzenia szybko dobiegła końca. Rozstaliśmy się z życzeniami rychłego zakończenia wojny i nastania lepszych czasów. W tydzień potem świat powitał nowy, 1943 rok. Kolejny rok cierpień, głodu i zniszczenia. W tę noc Grudów był pogrążony w zimowym śnie, a ja myślałam o czekających mnie cierpieniach. Dla mnie nic się nie zmieniło. Czas stanął w miejscu.

Nagle pukanie do drzwi przstraszyło mnie. Przerazona otworzyłam je. Przede mną stał syn mojej sąsiadki, który przyjechał do matki na święta. Przedstawił się, złożył życzenia noworoczne. Po chwili usiadł i zaczął opowiadać:

- Mieszkam we wsi oddalonej od Grudowa o jakieś dwadzieścia kilometrów u rodziny mojej matki. Wieś jest spokojna, Niemców w niej nie widać. Pracuję u sołtysa. W wolnych chwilach uprawiam sport, śpiewam także w kościelnym chórze. Posiadam zawód. Na wsi pozostanę tylko do końca wojny.

W tym miejscu przerwał i dokładnie mi się przyjrzał. Czekał, żebym mu powiedziała, kim jestem. Było mi trudno odezwać się. Czułam walenie serca, strach, nie wolno mi było jednak ujawnić paniki. Starłam się uśmiechnąć.

Syn mojej sąsiadki zasypywał mnie pytaniami: skąd przybywam, co mnie przywiodło do Grudowa, gdzie zdobyłam zawód, czy mam gdzieś rodzinę i czy mam już tutaj znajomych? Zadał mi też inne, bardziej szczegółowe pytania.

Udzieliłam mu krótkich, zwięzłych odpowiedzi. W pewnej chwili sąsiad cichym głosem oświadczył, że słyszał, że nie jestem Polką. Byłoby - dodał - znacznie lepiej, gdybym wyjechała z Grudowa. On mi pomoże przeżyć okrutny czas w swojej wsi.

Po wysłuchaniu śmiałych i otwartych słów mego gościa nie miałam ani sił, ani odwagi reagować. Nie mogłam powiedzieć, że jestem Polką. Nie wolno mi było potwierdzić, że jestem Żydówką. Poczulałam się, jakbym stała nad przepaścią, jakbym miała runąć w otchłań.

Mój sąsiad zrozumiał moją trudną sytuację. Świadom był, że nie mogę udzielić mu natychmiastowej odpowiedzi. Zaczął mi opowiadać o ciężkim życiu jego matki.

Przeprosił mnie za nieoczekiwane najście, dodając, że u matki pozostanie jeszcze dwa dni. W tym czasie będzie czekał na moją pozytywną odpowiedź. Uważał, że w obecnej sytuacji byłoby to dobre wyjście. Odprowadziłam go do drzwi, a on życząc dobrej nocy opuścił pokój.

Po jego wyjściu wpadłam w rozpacz. Półprzytomna położyłam się do łóżka, starając się zebrać myśli. Zastanawiałam się nad słowami mojego sąsiada.

Nie wiedziałam, kim jest. . . zbawcą czy aniołem śmierci? Sprzeczne myśli zmagaly się we mnie. Mieszały się w nich różne emocje: żydowska świadomość, sumienie i chęć życia. Instykt życia okazał się bardzo silny. Powinnam skorzystać z dobrej woli mojego sąsiada, ale intuicja podpowiadała mi, żeby poddać się tylko własnemu losowi.

Obudziły się we mnie różne uczucia. Wróciła tęsknota do rodziny, do domu mego dzieciństwa i młodości. Przypomniałam sobie owe dni wypełnione radością, przeżyte zgodnie z tradycją, które umocniły moją świadomość narodową i dumę z pochodzenia. To wszystko nie pozwalało mi teraz zaprzeczyć, iż jestem Żydówką. Nie mogłam postąpić nieuczciwie w stosunku do człowieka, który być może naprawdę chciał narazić własne życie, żeby mnie uratować. Nie mogłam go oszukać. Oszustwo nie leżało w mojej naturze. Było sprzeczne z moim sumieniem i wychowaniem.

Następnego dnia rano poszłam do Janiny, aby jej i przygarniętej przez nią rodzinie złożyć życzenia z okazji Nowego Roku 1943. Po raz pierwszy zastałam ją przy kuchni, na której przygotowywała noworoczny obiad. W mieszkaniu panowała świąteczna atmosfera. Janina tchnęła dobrocią i przyjaźnią. Pomogło mi to uwolnić się od koszmaru ostatniej nocy.

Nie chciałam przeszkadzać Janinie, przysiadłam się więc do Krystyny, która tego dnia miała wolny dzień od pracy. Opowiedziała mi, że jej mąż na początku wojny dostał się do niewoli sowieckiej. Została z dwojgiem dzieci. Teraz utrzymanie ich spadło na barki Janiny, która zbyt mało zarabiała, aby dzieci najadały się do syta. Bolał ją fakt, że dzieci nie uczyły się. Bała się, że w przyszłości nie dogonią straconego czasu.

Spędziłam u Janiny cały dzień. W pewnej chwili, gdy zostałyśmy same, oznajmiła mi, że otrzymała list od siostry z informacją, że od 10 stycznia jej znajoma z Józefowa będzie miała wolny pokój dla mnie. Objęłam Janinę jak mamę i serdecznie ją uścisnęłam. Ze wzruszenia rozplakałam się.

W środę 6 stycznia 1943 roku zostałam w domu. Zaczęłam pakować moje rzeczy. Chciałam wszyć do palta kilka sztuk biżuterii, które otrzymałam od rodziców. Płaszcz w tych mroźnych dniach miałam ciągle na sobie. Mróz był tak ostry, że kiedy szłam, palce mi zeszywniały i igła wypadła z rąk. Mimo to przygotowałam się do wyjazdu do Józefowa. Nagłe mocne uderzenie w drzwi zaskoczyło mnie, szybko otworzyłam. Zobaczyłam moją siostrę Rachelę. Za nią stała Renia i przytrzymała ją.

Przekroczywszy próg pokoju, Rachela zemdląła. Leżała na podłodze z zaciśniętymi zębami i wytrzeszczonymi oczami. Zaczęłyśmy ją cucić. Renia siłą otworzyła jej usta, a ja wlałam wodę, ale to nie pomogło. Położyłyśmy ją na łóżku i zaczęłyśmy masować jej ręce i nogi. To poskutkowało. Rachela odzyskała przytomność.

Ze ściśniętymi sercami stałyśmy nad łóżkiem i przyglądałyśmy się jej. Zrozumiałyśmy, że straciła dziecko, że przeżywa straszną tragedię. Zaległa grobowa cisza. Ani ja, ani Renia nie byłyśmy w stanie wydobyć z siebie słowa pociechy dla nieszczęśliwej siostry. Mijał czas, a my stałyśmy, czekając na słowo Racheli.

Tymczasem nalałam z termosu herbatę i łyżeczką zaczęłam pić Rachelę. Powoli zaczynała rozgrzewać się i wkrótce zapadła w niespokojny sen. Dopiero teraz Renia się rozplakała, całowała ją i ścisła. Wbrew swojej woli Renia musiała się rozstać z nami, albowiem bała się męża i Bartkowiaków. Szybko ruszyła do Milanówka.

Przed jej odejściem zdążyłam jeszcze powiedzieć jej kilka uspokajających słów o przygotowanym dla mnie mieszkaniu oraz o tym, że w sobotę lub w niedzielę pojedziemy z Janiną do Józefowa, gdzie ona przedstawi mnie nowym gospodarzom.

Podeszłam do Racheli. Siostra zmieniła się nie do poznania. Oczy miała spuchnięte, a wargi sine, popękane, jakby pocięte nożem. Twarz trupio bladą. Była załamana fizycznie i duchowo. Po ciężkich przejściach ciągle zapadała w sen przerywany bolesnymi westchnieniami, wybuchami szlochu. Całą noc czuwałam przy niej.

Nad ranem, kiedy Rachela poczuła się nieco lepiej, usiadłam przy niej na łóżku, żeby ją wysłuchać. Zaczęła opowiadać:

- Byłam razem z Lusią w Częstochowie, w domu dobrych Polaków. Było tam troje dzieci, z którymi Lusja szybko zaprzyjaźniła się i bawiła. W ciągu trzech miesięcy pobytu w Częstochowie otrzymałam od rodziców dwa listy. Była w nich głęboka tęsknota za wnukami i dziećmi. Grobowy smutek szarpał ich serca. Nie mogli zapanować nad rozpaczą. Mimo to starali się mnie uspokoić. Pomyślałam sobie: Dlaczego mam odmawiać rodzicom możliwości ujżenia raz jeszcze wnuczki? Dlaczego nie spełnić ich życzenia? Być może jest to ich ostatnie pragnienie w życiu? Ja także uległam głębokiej tęsknocie za rodzicami. Kilka dni przed Wigilią, kiedy pociągi były

przepełnione, nabrałam odwagi. Wzięłam Lusię i nie namyślając się dłużej pojechałam do rodziców. Zastałam ich pogrążonych w smutku, rozpacz i obojętności wobec losu. Na nasz widok twarze ich rozjaśniły się. Trudno wprost opisać ich miłość do Lusi. Wyrywali ją sobie z rąk. Tulili ją, ściskali i całowali każdy paluszek z osobna. Były to jedyne chwile radości w ostatnich dniach ich życia.

Nagle Rachela po raz wtóry załamała się i osłabła, Ocuciłam ją. Powoli uspokoiła się, wróciła do siebie. Znow zaczęła opowiadać. Pozwoliłam jej mówić, aby doznała ulgi i dała upust swoim cierpieniom.

We wtorek 5 stycznia hitlerowcy zaczęli zganiać ostatnich pozostałych przy życiu Żydów z okolicznych miasteczek. Wyciągali ich z piwnic, strychów, schronów. Spędzili ich w jedno miejsce, skąd odprawili transportem do Treblinki.

Noc była mroźna. Gęsty śnieg pokrył ziemię, wiatr szalał. W czasie akcji zastrzelono wiele osób. Podczas ładowania Żydów do wagonów słyhać było straszliwy lament. Było to istne piekło.

Mała Luśka, która za miesiąc miała obchodzić czwarte urodziny, trzymała się płaszcz matki i błagała:

- Mamusiu, nie chcę wejść do wagonu! Mamy przecież aryjskie papiery. Uciekajmy stąd! Chcę żyć!

W wagonie śmierci rodzice, Rachela i Lusia trzymali się razem. Nieszczęsne ofiary przeżywały męki. Zewsząd rozlegały się ciężkie westchnienia. Z braku powietrza i wody wielu ludzi mdlało. Wielu umierało. Silniejsi przepychali się do wąskiego okienka wagonu bydlęcego, aby zaczerpnąć powietrza. Nasza Mama bez przerwy przyciskała Luškę do piersi, łyżeczką zeskrobywała szron ze ściany wagonu, aby zwilżyć jej wargi i w ten sposób utrzymać wnuczkę przy życiu. Śmierć rozpostarła skrzydła nad wszystkimi.

Nagle Tata postanowił wyrzucić Rachelę z wagonu. Czy spodziewał się, że tym sposobem zdoła uratować ją od śmierci? A może myślał, że spadając zginie na miejscu? A może dostrzeże ją hitlerowski wartownik i zastrzeli? Kto wie, jakie myśli chodziły mu po głowie? Może wierzył jednak w cud, że Rachela uratuje się? Wtedy niech powie światu o tym, co widziała na własne oczy.

Nielatwo była dotrzeć do okienka wagonu. Nieludzkim wysiłkiem Tata dostał się do niego. Głosem przerywanym płaczem błagał Rachelę, aby nie stawiała oporu. Kiedy Tata zmagął się z moją siostrą, Mama wyciągnęła z torebki kawałek świecy i wkładając go w rękę Racheli, szepnęła:

- Weź, córuchno, ten kawałek świecy. Jutro zapalisz go za spójność naszych dusz. Idź, córko, do Cesi i zostań z nią!

Kiedy pociąg zwolnił tempo, Tata pociągnął Rachelę do okienka i zebrawszy siły, wypchnął

ją na zewnątrz. Potoczyła się w dolinę przy torach. Leżała tam aż do świtu. Podniosła się, kierowana jakimś instynktem szła i szła w jednym kierunku, aż dotarła do chłopskiej chaty.

Drzwi otworzyła wieśniaczka. Gospodyni postawiła jej stołeczek, podała garnuszek wody. Na pół omdlała Rachela powoli piła i oblewając sobie twarz wracała do przytomności.

Po krótkim odpoczynku Rachela wyruszyła w dalszą drogę. Szła bocznymi drogami, ścieżkami, często na skrót, aż dowlokła się do Milanówka, gdzie mieszkała Renia.

Los chciał, że Renia akurat stała w oknie wychodzącym na drogę. Przerazona, szybko zabiegła ze schodów, objęła Rachelę i chciała zabrać ją do siebie. Nie mogła jednak tego uczynić, ponieważ mąż jej tego surowo zabronił. To zmusiło Renię do przyprowadzenia Racheli do mnie.

Godzinami siedziałam przy Racheli wsłuchana w jej słowa. Wydawało mi się, że opowiadanie o tragicznych przeżyciach uwolni ją chociaż chwilowo od przeżytego koszmaru.

Musiałam sama powstrzymać się od smutnych rozmyślań i być silną, żeby ochronić siostrę, wyciągnąć ją z depresji i obudzić w niej wolę do walki o życie. Aby chociaż na chwilę usunąć z jej oczu bolesne obrazy, zaczęłam opowiadać jej o mojej przyjaźni z Janiną Bagińską, a także o spokojnym Józefowie, w którym obie zamieszkamy razem.

- Niedobrze jest pozostawać przez długi czas w tym samym miejscu - mówiłam, aby zachęcić ją do przeniesienia się do Józefowa.

Rachela leżała słuchając mnie. Z jej oczu wycierał strach. Na twarzy rysowały się przeżyte cierpienia. Nagle zerwała się z łóżka, podbiegła do szafy, otworzyła ją i wyciągnęła z kieszeni płaszcza kawałek świecy, który dała jej przed dwoma dniami Mama w wagonie śmierci.

Stałyśmy obie przy stole, zapaliłyśmy świecę i z rozpaczą i bólem wpatrywałyśmy się w jej płomień. W tej chwili wydawało się nam, że pokój wypełniony jest uszami Rodziców i dziecka Racheli. Była to nasza modlitwa za umarłych, za dusze kochanych naszych Rodziców i Lusi, nasz "kadis", za te niewinnie zgładzone istoty.

Widać, że tak chciał los, aby testament Mamy został wykonany.

Nazajutrz z samego rana poszłam do Janiny, ponieważ chciałam podzielić się z nią wieścią o tragicznych przeżyciach mojej siostry. Janina była jedyną osobą, która wiedziała, kim jestem, i tylko ona mogła znaleźć słowa ukojenia dla Racheli oraz ulżyć jej doli.

- Postaraj się - prosiłam Rachelę - opanować i uspokoić się. Bądź rozsądna. Musisz także zachować na zewnątrz spokój. Idę do Janiny. Możliwe, że wrócę razem z nią.

W powszednie dni rzadko przychodziłam do Janiny, dlatego też gdy mnie zobaczyła, od razu wyczuła, że coś musiało się stać. Nałożyła na siebie płaszc, zarzuciła na głowę wełniany szal i ruszyłyśmy w stronę Grudowa.

Był mroźny styczniowy dzień. Śnieg trzeszczał pod nogami. Z ust buchała para. Ciężko

było rozmawiać po drodze, ale musiałam pokrótce opowiedzieć Janinie o tragicznych przeżyciach mojej siostry. Drżącymi wargami wyszeptałam, że niespodziewanie zjawiała się u mnie siostra Zofia. Obecnie obydwie jesteśmy zagrożone.

Gdy weszłyśmy do mojego pokoju, Janina objęła Rachelę i ucałowała ją serdecznie jak dawną znajomą. Rachela-Zofia, powściągliwa z natury, od razu wyczuła w Janinie przyjazną duszę. Powoli przełamała się i opowiedziała dokładnie o nieszczęściu, które ją spotkało. Janina rozplakała się jak małe dziecko. Zrozumiała też, że obie musimy jak najprędzej stąd wyjechać. Znała przecież doskonale tutejszych ludzi, ich skłonności do oszczerczych oskarżeń, zwłaszcza teraz w czasie wojny.

Janina na ogół nie lubiła wdzierać się w cudze myśli i uczucia, zawsze podchodziła do wydarzeń z wyczuciem i delikatnością, ale tym razem zareagowała stanowczo. Wstała z krzesła i oświadczyła:

- Takie dwie róże jak wy nie powinny dłużej zostać na takim "śmietniku". Jutro rano pierwszą kolejką wyjedziemy do Józefowa. Będę wam towarzyszyła do końca. Przedstawię was gospodarzom mieszkania w Józefowie jako moje krewne.

W sobotę rano wstałyśmy, zamiotłyśmy pokój i po cichu, na palcach wyszłyśmy, zamknawszy drzwi na klucz. Z Janiną spotkałyśmy się przed kolejką dojazdową. W przepelnionym przedziale trzymałyśmy się razem. Rachela przytuliła się do Janiny, ja siedziałam przy oknie. Przez obmyte topniejącym śniegiem szyby wpatrywałam się w księżyc, kiedy po odchodzącej nocy wycofywał się z nieba, aby wkrótce zniknąć. Jednocześnie wstawał świt. Robiło się coraz jaśniej, jaśniej.

W Warszawie przesiadłyśmy się do następnej kolejki i wkrótce dojechałyśmy do Józefowa. Janina zaprowadziła nas do gospodarzy, u których zamówiła dla nas pokój. Zostałyśmy gospodynią z jej córką przy obiedzie. Przyjęły nas serdecznie i zaprosiły do stołu. Przy gorącej herbacie ta pani rozgadała się z Janiną, zasypywała ją gradem pytań: Kim są lokatorki? Skąd pochodzą? Na jak długo przyjechały? I tak dalej. Janina, która podjęła się roli naszej opiekunki, odpowiedziała na wszystkie pytania. Przedstawiła nas jako swoje krewne, z którymi utrzymuje bliższe stosunki rodzinne od chwili, kiedy nasz dom został zburzony przez niemiecką bombę na samym początku wojny.

Stefa, córka gospodyni, wzięła od matki klucz i zaprowadziła nas na piętro do naszego pokoju, który właściwie był facjatką. W tamtym czasie strych wydawał nam się najlepszą kryjówką.

Janina była zadowolona z miłego kontaktu między nami a gospodarzami. Zostałaby z nami zapewne na kilka dni lub przynajmniej na noc, ale chciała uniknąć pretensji ze strony Krystyny i jej

synków. Dlatego po krótkim odpoczynku wróciła do Milanówka.

Zostałyśmy same. Zaczęłyśmy oglądać naszą facjatkę. Pokój był długi i wąski. Przy samym wejściu zauważyłyśmy po obu stronach niskie drzwiczki. Z ciekawości otworzyłyśmy je. Stwierdziłyśmy, że są tam podstrychowe komórki zaopatrzone w małe okienka. Pomyślałyśmy, że w chwili niebezpieczeństwa będziemy mogły się tam ukryć. Potem podeszłyśmy do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Przed nami rozpościerała się pusta przestrzeń pokryta dywanem srebrzystego śniegu. W pobliżu stały wysokie, smukłe, prastare drzewa, które nawiewały do naszej facjaty chłód. Ale kiedy wzrok nasz padł na dwa żelazne łóżka przykryte pierzynami i poduszkami, zrobiło nam się ciepło.

Położyłyśmy się do łóżek. Wygrzałyśmy się pod pierzyną. Odsunęłyśmy od siebie straszne obrazy przeżytych nieszczęść. Odpędziłyśmy mroczne myśli i zapadłyśmy w głęboki, długi sen aż do rana. Przespana w spokoju noc zmniejszyła napięcie, w jakim żyłyśmy, i nieco nas uspokoiła. W niedzielę o świcie, gdy się obudziłam, postanowiłam pojechać nazajutrz rano do Grudowa, aby odebrać w urzędzie gminnym metrykę dla mojej siostry. Nie wiedziałam jednak, czy mogę zostawić Rachelę samą po jej przeżyciach. Staralam się w ciągu dnia znaleźć odpowiednią chwilę, żeby wyjaśnić jej konieczność mego wyjazdu do Grudowa. Wieczorem, gdy ciemność zgęstniała, usiadłyśmy przy oknie. Na dworze było pusto. Padał gęsty śnieg. Srebrna biel oświetlała nasz pokój i to przyniosło z sobą ciszę i spokój. Zdecydowałam się wtedy powiedzieć Racheli o moich planach:

- Kiedy zameldowałam się w urzędzie gminnym w Grudowie, złożyłam tam podanie o metrykę dla ciebie na nazwisko Zofii Lewandowskiej. W związku z tym, że musimy się zameldować w Józefowie, postanowiłam pojechać jutro po twoją metrykę. Chciałabym wiedzieć, czy czujesz się na siłach zostać sama.

- Tak - odpowiedziała Rachela. - Czuję się już zupełnie dobrze. - Ośmielona jej lepszym samopoczuciem dodałam:

- Może się zdarzyć, że wskutek godziny policyjnej nie zdążę wrócić tego samego dnia. Nie powinnaś się tym przejmować.

- Nie myśl o mnie - powiedziała Rachela. Myśl o sobie. Ja znajdę jakieś zajęcie dla siebie.

Widać było, że chciała mi dodać otuchy.

Następnego dnia pożegnałam się z Rachelą i udałam się w drogę do Grudowa. Podróż minęła mi szybko. Kiedy podeszłam do domu moich byłych gospodarzy, aby im oddać klucze, które w pośpiechu zabrałam w sobotę, zobaczyłam w pobliżu panią Grzelec, sprzątającą śnieg. Widać było, że jest czymś zaniepokojona. Kiedy mnie dostrzegła, szybko zaczęła mi opowiadać, co się zdarzyło:

- Elzbieta, miałaś szczęście, że cię nie było w sobotę. Około ósmej rano zjawiała się tu grupa gestapowców i policjantów z pistoletami i siekierami w rękach. Rozbili drzwi prowadzące do twojego pokoju. Chcieli cię zabić. Miałaś dużo, dużo szczęścia! Ja i mój mąż najedliśmy się strachu.

Kolana ugięły się pode mną. Niewiele brakowało, a zemdlałabym. Poczułam w krtani dziwną suchość. Nie mogłam wydobyć słowa, żeby skłamać, iż nie jestem Żydówką. Minęło kilka chwil, nim się opanowałam. Wręczyłam sąsiadce klucz od mego pokoju prosząc ją, by go oddała gospodarzom.

Ze strachu nie weszłam już do pokoju, w którym za ściennym zegarem przechowywałam jedyny list od Mamy. I tak list przepadł bezpowrotnie.

Sąsiadka podała mi rękę, życząc, aby Pan Bóg wziął mnie w opiekę. Po pożegnaniu pobiegłam do urzędu gminnego. Wąska droga prowadziła wśród gołych, zamrzniętych pól. Wiatr pchał mnie naprzód z dużą siłą. Zrywał mi chustkę z głowy. Musiałam ją przytrzymywać palcami, tak że z zimna zeszywniały mi ręce. Z każdą chwilą coraz trudniej było oddychać. Coraz powolniejsze stawały się moje kroki. Nikogo po drodze nie spotkałam, ale mimo to miałam uczucie, jakby ktoś mnie gonił. W końcu przemogłam lęk. Przed wejściem do urzędu gminnego przywołałam na twarz wyraz śmiałości, pewności siebie.

W pokoju siedział ten sam sekretarz, u którego załatwiałam dla siebie meldunek. Poznał mnie i od razu wręczył mi metrykę dla mojej siostry na nazwisko Zofia Lewandowska. Uradowana, prędko ruszyłam w drogę powrotną. Chciałam dotrzeć do Józefowa, zanim się ściemni. Wiatr i gęsta śnieżycy hamowały moje kroki. Byłam zmuszona skierować się do Janiny.

Moje nagłe przyjście zdziwiło ją. Mimo to przywitała mnie uśmiechem i pokrzepiła ciepłą strawą. W kilka godzin potem, nim ułożyłyśmy się spać, opowiadałam Janinie, co się zdarzyło w sobotę w moim mieszkaniu w Grudowie zaraz po naszym wyjeździe do Józefowa. Podczas mojego opowiadania zauważyłam na jej twarzy wyraz bólu i współczucia.

- Mogło się tak zdarzyć - dodałam - że gestapo lub policjanci są na moim tropie. Czy moja obecność w twoim mieszkaniu nie naraża ciebie na niebezpieczeństwo?

- Jeśli Pan Bóg - oświadczyła Janina - chce zniszczyć tak młodą istotę jak ty, niech i mnie zabierze.

Powiedziawszy to stanęła przed zawieszonym nad jej łóżkiem świętym obrazem, który przedstawiał głowę Jezusa Chrystusa otoczoną aureolą. Janina stała długą chwilę wpatrując się w obraz, po czym uklękła i szeptem odmówiła modlitwę. Podniósłszy się z klęczek powiedziała mi do ucha:

- Śpij spokojnie. Ufam, że moja modlitwa zostanie wysłuchana.

Nazajutrz wręczyła mi woreczek z żywnością. Po ciepłym śniadaniu odprowadziła mnie do kolejki. Na śliskiej drodze Janina opierała się na moim ramieniu. W pewnej chwili, kiedy zatrzymałyśmy się na drodze, dyskretnie wręczyłam jej złoty pierścionek Racheli do sprzedania. Przy pożegnaniu przyrzekła mi, że postara się często nas odwiedzać.

Na stacji wmieszałam się w tłum pasażerów. Śmiało weszłam do wagonu i zajęłam miejsce w kącie przedziału. Chustą zakryłam sobie prawie pół twarzy. W rękę trzymałam książkę i udawałam zaczytaną. Przez cały czas nie opuszczała mnie myśl o pozostawionej w samotności siostrze.

Wróciwszy do domu zastałam Rachelę w złym, smutnym nastroju. Strach i melancholia nie opuściły jej.

- Bardzo za tobą tęskniłam. Chciałam cię jak najszybciej znowu zobaczyć - rzekła.

- Ja także za tobą tęskniłam.

Wyciągnęłam metrykę i podałam jej. Nie wykazała nią większego zainteresowania. Była apatyczna i zrezygnowana.

To, co przeżyłam podczas ostatniej bytności w Grudowie, przemilczałam. Szukałam odpowiednich słów, żeby wyrwać ją ze stanu zagubienia i tchnąć w nią nadzieję.

Dopiero po kilku dniach poczułyśmy się w naszej facjatce pewniej i bezpieczniej. Od czasu do czasu chciałam sięgnąć po pióro, żeby zapisać kartkę w brulionie, utrwalić na papierze nasze cierpienia. Wyrazić protest przeciwko bezdusznemu i złowrogiemu światu. Czasami miałam ochotę napisać modlitwę błagalną do Boga, ale pióro wypadło mi z ręki. Nie mogłam go utrzymać w palcach. Dni mijały powoli, byłyśmy z Rachelą jak jedna dusza w dwóch ciałach. Obie starałyśmy się nie poddawać uczuciom strachu i zwątpienia. Jakaś nowa siła wstąpiła w nas.

Postanowiłyśmy z uporem walczyć o życie.

Rozdział trzeci

Wyglądało na to, że w Józefowie znajdziemy spokój, że nabierzemy tu sił. Na razie jednak bałyśmy się własnego cienia. Uważałyśmy na każde słowo, żeby się nawzajem nie urazić.

Rachela pozostawała w łóżku. Wciąż jeszcze nie uspokoiła się po przeżytym szoku. Jednak wspólne mieszkanie oraz serdeczne stosunki panujące między nami budziły nadzieję i wzmacniały odporność.

Często rozmawiałam z Rachelą. Staralam się przekonać ją, że nasza sytuacja uległa poprawie. Posiadałyśmy bowiem wiele atutów przemawiających na naszą korzyść: aryjski wygląd, oryginalne metryki, dobrze zamaskowaną kryjówkę i dobrych gospodarzy. Do tego wszystkiego zaczęłyśmy się uczyć katolickiego katechizmu. Wszystko to razem dodawało wiary i polepszało nasze samopoczucie. Gdyby nawet ktoś zaczął podejrzewać nas, to łatwo mogłyśmy go przekonać, że jesteśmy prawdziwymi pobożnymi chrześcijankami. Wmawiałam więc sobie i siostrze, że nic złego nie może się nam przytrafić.

Minęło kilka tygodni i Rachela poczuła się lepiej. Zaczęła odwiedzać gospodynię, która pozwoliła nam od czasu do czasu korzystać z kuchni.

Zaprzyjaźniła się z jej córką. Przesiadywała u niej, często czytała gazetę, nieraz książkę. Za każdym razem, gdy wracała do naszego pokoju, zauważałam u niej pogodniejszy wyraz twarzy. Była bardziej skoncentrowana i spokojniejsza.

Któregoś dnia zauważyła, że w gazecie jest wiele ogłoszeń o pracy. Szczególnie rzucały się w oczy anonse z propozycjami dla dziewcząt. Uważała, że w dużym mieście, wśród licznej ludności, łatwiej będzie uzyskać pracę i jednocześnie żyć nie zauważonym. I tu dodała, że beczynność wprawia ją w apatię, powoduje niepokój. Dlatego musimy pomyśleć o przeniesieniu się do Warszawy. Siostra zaczęła coraz częściej schodzić do Stefy, wynotowywać z gazet adresy i telefony dotyczące prywatnych zajęć. Przy okazji dowiedziała się o przygotowaniach Stefy do ślubu i wesela. I o tym, że raz w tygodniu jeździ do Warszawy przymierzać suknię ślubną. Usłyszawszy to od razu pomyślałam, że mogłabym wykorzystać tę okazję i pojechać razem z nią. Dobrze mieć przyjaciółkę prawdziwą Polkę. To doda mi pewności siebie i uciszy lęk.

W następną niedzielę rano zeszłam z Rachelą do naszych gospodarzy. Ubrani byli odświętnie, tak jak przystało na taki dzień. Złożyłam Stefie życzenia w związku z weselem, do którego się przygotowywała. Zatrzymała nas na dłuższą rozmowę. My, pozornie w dobrym nastroju, przysłuchiwałyśmy się jej uważnie, w końcu umówiłam się z nią na najbliższy czwartek. Miałyśmy spotkać się na podwórzu wcześniej rano. Z radością przyjęła moją propozycję.

W czwartek rano zeszłyśmy obie z siostrą do Stefy. Rachela podała mi torebkę, do której

włożyła kartkę z wypisanymi adresami miejsc pracy oraz dwie kromki chleba. Ze łzami w oczach objęła mnie i przyrzekła, że zostanie u gospodyni, u której jest ciepło, przyjemnie i gdzie czuje się pewniej i spokojniej. Zapewniłam, że wrócę, zanim się ściemni.

W Warszawie rozstałam się ze Stefą. Umówiliśmy się na spotkanie o czwartej po południu na dworcu. Drobny deszcz pomógł mi ukryć twarz pod parasolem. Ale za każdym razem, gdy miałam przestąpić próg obcego mieszkania, czułam niesamowity strach.

W końcu właścicielka pewnego warsztatu krawieckiego obiecała mnie przyjąć do pomocy od 10 kwietnia. Zatrudniała jeszcze kilka dziewcząt. Były one wesole, pełne życia i humoru. Podczas zajęć nie przestawały się śmiać i żartować. Wyglądało na to, że dostałam dobrą robotę. W drodze na dworzec pomyślałam, że te beztrioskie dziewczęta mogą się okazać niebezpieczne dla mnie. Wystarczy, abym raz westchnęła lub instynktownie wyraziła smutek, a jasne stanie się dla nich, kim jestem.

O godzinie czwartej spotkałam się ze Stefą. Wsiadliśmy razem do wagonu. Opisywała mi dokładnie swoją ślubną kreację, która sprawiła jej dużo zadowolenia.

Podróż powrotna do Józefowa minęła szybko. Z dworca poszliśmy na skróty ścieżką do domu, gdzie miała na mnie czekać Rachela. Ponieważ nie zastałam jej u gospodarzy, wbiegłam na górę do naszej facjaty. Ledwo przeszłam próg, a Rachela rzuciła mi się na szyję. Z jej przerażonych oczu płynęły łzy. Rachela, matka dziecka, sama stała się dzieckiem. Wszystkie jej cierpienia i męki skupiły się w tym jednym wielkim szlochu.

Zanim zaczęłam opowiadać o moim pobycie w Warszawie, przyjrzałam się jej dokładnie. Stwierdziłam, że jej stan, zarówno fizyczny, jak i duchowy, wymaga starannej opieki. Postanowiłam przeto zrezygnować z pracy i zająć się przede wszystkim zdrowiem mojej siostry. Pozostała jednak otwarta kwestia materialna. Nie wiedziałyśmy, skąd wziąć pieniądze na utrzymanie. Janina do tej pory nie odwiedziła nas. . . a trzeba było zapłacić za mieszkanie!

Rachela długo nie namyślała się. Wyjęła złotą bransoletkę, którą Tata włożył jej na rękę przed wyrzuceniem z wagonu jadącego do Treblinki. Szybko zbiegła do Stefy. Zaproponowała jej kupno tej ozdoby. Stefie ta propozycja przypadła do gustu. Weszła do matki, żeby naradzić się co do wartości. Ponieważ żądana cena była o połowę niższa od prawdziwej, matka Stefy zaakceptowała ją i od razu wypłaciła połowę sumy. Drugą połowę obiecała za miesiąc.

Rachela wróciła do pokoju z zaróżowioną twarzą. Była zadowolona, że udało jej się zdobyć trochę pieniędzy, abyśmy mogły nadal mieszkać razem.

Sroga zima skończyła się. Wiosna rozłożyła się zielonym kobiercem dookoła domu. W pobliżu naszego okna rosły krzewy bzu, na których pojawiły się pąki. Ich miły zapach odświeżał i zachęcał do życia. Z dala widać było mnóstwo drzew. Na ich szczytach gałęzie pokryte gęsto

liśćmi wyglądały jak zielone korony. Złote promienie słońca przebijały się przez nie, tworząc mieszaninę różnorodnych kolorów. Liczne gromady ptaków zaczynały budować gniazda wśród pokrytych liśćmi gałęzi, a nad ranem już ćwierkały, śpiewając pieśni o wolności. Łagodne wiosenne słońce przywoływało nas do okna. Wchłaniałyśmy czyste, świeże zapachy zmartwychwstałej przyrody. Nie mogłyśmy długo podziwiać barwnego obrazu z obawy, że może nas ktoś zauważyć. Pomimo to trudno było oprzeć się naturze i od czasu do czasu podchodziliśmy do okna, aby ujrzeć choć na chwilę wspaniały rozkwitający świat.

Zdarzało się, że gdy stałyśmy przy oknie, nagle wiosenny wiaterek lekkim podmuchem poruszał liście. Wtedy wydawało nam się, że spośród tych liści wyłania się umundurowany gestapowiec, który czyha na nas, na nasze życie.

W ciągu dnia wielokrotnie zmieniał się nasz nastrój i samopoczucie. Czasami, gdy Rachela dostrzegała na mojej twarzy smutek, zakłopotanie, starała się znaleźć odpowiednie słowa, aby uwolnić mnie od mrocznych, ponurych myśli. Ażeby mnie podnieść na duchu, przypominała mi, że jest kwiecień, miesiąc, w którym przypada święto wielkanocne, święto wolności. Zaczęła wspominać przedwojenne dni tej najpiękniejszej uroczystości, kiedy cała rodzina religijnie przygotowywała się do niej. Szczególnie opisywała Mamę, jej wysiłki, starania, ogrom pracy dla dzieci i domu. Dbała, ażeby każde z nas miało nowe ubranie, nowe obuwie. Jadalnię upiększała firanka ręcznie wyhaftowana przez Mamę. W noc sederową Mamusia zajmowała się przygotowywaniem stołu. Komplet porcelany używany tylko na Wielkanoc błyszczał granatowo-złocistym wzorem. Obok każdego talerza było srebrne nakrycie. Na serwetce leżała maleńka gałązka mirtu. Na samym środku stały cztery srebrne lichtarze i taca ze srebrnymi pucharami, które były ślubnymi prezentami naszych Rodziców. Jeden z największych kielichów był symbolem nocy sederowej. Rzekomo miał pić z niego prorok Elias.

Ze wzruszeniem przysłuchiwałam się słowom siostry, gdy przywoływała obraz tej nocy w naszym dawnym, a dziś utraconym domu. Miałam wrażenie, że Rachela opisywała to w sposób tak obrazowy, jakby miała to wszystko przed oczami.

Miłość i ból tchnęły z jej słów. Na chwilę zniknął smutek. Mnie jednak nękała straszna myśl. Pamiętałam, że podczas dni świąt żydowskich Niemcy kilkakrotnie powtarzali zbrodnicze akcje i znęcali się nad Żydami w getcie. Także po aryjskiej stronie gestapowcy gonili ukrywających się Żydów.

Często szukałyśmy ukojenia dla naszych napiętych nerwów. W jeden z takich wieczorów kwietniowych podeszłyśmy do okna. Otworzyłyśmy je na oścież, aby spojrzeć na niebo. Spostrzegłyśmy na północnej stronie czerwoną łunę jakby przecinającą niebo, nad nią unosiły się kłęby dymu, które pięły się w górę coraz wyżej i wyżej.

- Co to może być?

- Czyżby to była zła wieść? - spytała Rachel. - A może to pożar, który wybuchł w dalekiej wsi? A może ta łuna unosi się nad Warszawą i stamtąd dociera do nas?

- Bądź spokojna, wygląda na to, że pali się bardzo daleko, daleko stąd - zapewniłam ją.

Rano zeszłam do Stefy zagotować wodę. Spotkałam u niej narzeczonego, akurat opowiadał najnowsze wiadomości. Z przerażeniem dowiedziałam się, że ludzie, którzy przybywają z Warszawy, donoszą, że w getcie jest straszliwy pożar. Ogień coraz bardziej się rozprzestrzenia i istnieje groźba, że płomienie sięgną poza mury getta. Polacy mieszkający w pobliżu obawiają się, że ich domy mogą się także zapalić. Mówią, iż Żydzi nie dali się wyprowadzić z getta na Umschlagplatz. Niemcy wprowadzili do getta czołgi i ciężką broń. Młodzi Żydzi, którzy posiadają broń, strzelają do Niemców z dachów i okien umieszczonych na górnych piętrach domów. Widziano, jak hitlerowcy wywozili z getta zabitych i rannych.

Usłyszawszy o tym, że Niemcy niszczą ogniem i mieczem pozostałych Żydów w getcie, czułam, że serce mi pęknie. Wyszłam. Idąc schodami do facjaty zastanawiałam się, czy opowiedzieć siostrze o tym, że część Warszawy stoi w płomieniach. Po namyśle postanowiłam, że zataję przed nią te wiadomości. Jednak bardzo ciężko, niezmiernie ciężko przychodziło mi utrzymanie prawdy w tajemnicy przed Rachelą. Popadłam w przygnębienie. Aż nagle pojawiło się we mnie pragnienie zapisania tego wszystkiego, co się działo ze mną i we mnie. Wzięłam ołówek, otworzyłam gruby zeszyt i zapisałam wszystkie nurtujące mnie wtedy myśli i uczucia:

Jesteśmy niewinnymi ludźmi. Nikomu nie wyrządziliśmy krzywdy, a mimo to siedzimy i czekamy na wykonanie na nas wyroku śmierci. Dlaczego? Jesteśmy młode. Od dzieciństwa wychowane byłyśmy, aby czynić dobro, pomagać biednym, chorym, słabym. Za jakie grzechy jesteśmy skazane na poniżenie, cierpienie i śmierć? Dlaczego?

Dlaczego my, Żydzi, skazani zostaliśmy na głód, epidemie, pogromy i unicestwienie. Dlaczego?

Przecież żyją jeszcze na świecie dobrzy ludzie - gdzie oni są?

Zamknęłam zeszyt i poczułam, że moje serce powoli wyzwala się z ucisku.

Tragiczny kwiecień minął.

Po powstaniu w getcie niepokój wzrastał z dnia na dzień. Wiadomości o tym, że po aryjskiej stronie gestapo nasiliło represje wobec Żydów, wywołały w nas trwogę i niesamowity lęk.

Rachela i ja tłumiłyśmy w sobie napięcie i płacz. Czułyśmy się jak zaszczute psy. Nie bacząc jednak na niebezpieczeństwo coraz częściej siadałyśmy przy otwartym oknie, aby pokrzepić się majowym powietrzem.

Pewnego wieczoru zobaczyłyśmy małego chłopca około dziesięciu lat, zaganiającego

krowę do obory, stojącej tuż obok naszego domu. Pastuszek wszedł do obory i tam pozostał na noc.

Nad ranem następnego dnia usiadłam przy oknie, ażeby przyjrzeć się twarzy chłopczyka, kiedy wyprowadzał krowę na pastwisko. Był to ładny dzieciak, miał główkę pełną czarnych, kędzierzawych włosów, duże aksamitne oczy i purpurowe wargi. Stało się dla mnie jasne, że pastuszek jest żydowskim dzieckiem.

Patrząc na tego nieszczęsnego chłopca, myślałam o tragedii jego rodziców, którzy w ten sposób chcieli go ocalić od śmierci. Bardzo chcieliśmy pogłaskać go po główce, porozmawiać z nim, ale wiedziałyśmy, że to może wzbudzić podejrzenie.

Zrozumiałyśmy, że nie jesteśmy jedynymi Żydami w tym gospodarstwie. Bałyśmy się o chłopca, aby nie był dostrzeżony przez złe, nienawistne oczy, żał nam było, że musi nocować w oborze razem z krową, a co gorsza, może ściągnąć niebezpieczeństwo na ukrywających się w naszym gospodarstwie.

Któregoś dnia Rachela dowiedziała się od Stefy o powstaniu w getcie, o spaleniu i zrównaniu z ziemią żydowskiej dzielnicy. Spotkała też w mieszkaniu Stefy sąsiadów, którzy z satysfakcją mówili, że Polska nareszcie została oczyszczana z Żydów.

Po jednej z takich wizyt Rachela wróciła do pokoju mocno przerażona. Przerwanym głosem oświadczyła:

- Sądzę, że masz rację mówiąc o potrzebie zmiany miejsca zamieszkania. Nie wolno nam dłużej pozostawać tutaj. Trzeba znaleźć pokoi-kryjówkę w Warszawie i zacząć pracować, aby zmienić tryb życia. A nuż to nam pomoże!

Po tych zdecydowanych słowach siostry niecierpliwie czekałam na dzień, w którym razem ze Stefą pojedę znów do Warszawy. Wystraszona Rachela zabrała się do reperowania naszych rzeczy.

Od chwili spotkania Polaków, którzy pogardliwie i wrogo mówili o Żydach, Rachela nie przestawała przypominać o zatrutej atmosferze po aryjskiej stronie.

Pewnego wieczoru, zupełnie niespodziewanie, Stefa przyszła do nas.

Szczęśliwa, oznajmiła nam, że jej ślub odbędzie się pod koniec lipca. Suknia ślubna jest już gotowa i w przyszłym tygodniu wybiera się do Warszawy. Siedziała u nas kilka godzin przekazując nam także nowe informacje o sytuacji w kraju.

Po jej wyjściu moja siostra nagle nabrała odwagi i stwierdziła, że chętnie pojechałaby razem z nami do Warszawy. To mnie ucieszyło.

Pod wieczór usiadłyśmy z Rachelą przy otwartym oknie, aby odetchnąć. Barwny obraz nocnego nieba zachwycał nas. Księżyc otoczony był królestwem gwiazd i gwiazdeczek. Kwiaty i drzewa, rosnące na pobliskich polach, napełniły powietrze wspaniałymi zapachami. To kojące

piękno pomogło nam oddać się błogiej niepamięci aż do północy.

Owej nocy miałam niesamowity sen. Koszmarne obrazy męczyły mnie do samego świtu. Słyszałam nadchodzące z daleka powolne kroki. Stopniowo zbliżały się po schodach do naszych drzwi. Do pokoju weszła Mama, zatrzymała się przy drzwiach. Twarz miała żółtą jak zwiędły, opadły liść. Oczy głęboko zapadnięte, zamglone. Głowa owiązana aż po środek czoła. Ubrana była w nędzną suknię. Trzymała dłoń na ustach i przecząco kręciła głową. Cała jej postać tchnęła smutkiem i żałobą. Stała tak przez dłuższą chwilę wpatrując się w nas. Chciałam podbiec do niej, ucałować, wypłakać się, ale Mama podniosła palec wskazujący poruszając nim w prawo i w lewo, jakby chciała nas ostrzec przed grożącym zewsząd niebezpieczeństwem. Wyciągnęłam do Mamy rękę, ale w tej samej chwili zniknęła mi.

Leżałam jakby w malignie. Drżałam. . . Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam obok siebie Rachelę, która ścierała mi pot z twarzy.

- Zły sen cię gnębił - powiedziała.

Mama nauczyła mnie, że każdy sen należy interpretować korzystnie. Tym razem nie byłam w stanie ani go należycie przemyśleć, ani też z korzyścią dla mnie skomentować.

Następnego dnia, jak zwykle w niedzielę, zostałyśmy w swoim pokoju. Nie chciałyśmy przeszkadzać naszym gospodarzom. Staralam się zapomnieć o nocnych męczarniach i koszmarach. Omawiałyśmy z siostrą planowany wyjazd do Warszawy. Głośno medytując Rachelę nagle stwierdziła, że nie czuje się na siłach pojechać ze mną. Wciąż widzi siebie z rodzicami i dzieckiem w wagonie jadącym do Treblinki. Nie ma dość sił, żeby swobodnie poruszać się po ulicach. Obawiała się, że wewnętrzny strach i lęk zdradzą ją.

Jej słowa zaskoczyły mnie, nie mogłam zrozumieć nagłej zmiany jej decyzji.

W środę rano, w dniu wyjazdu do Warszawy, wstałyśmy wcześniej. Rachelę przygotowała mi kilka drobnych rzeczy. Skontrolowała mój dokument i włożyła do torby. Nie zapomniała o paczusce z jedzeniem na drogę. Przed wyjściem z pokoju stała przez chwilę zadumana. Przypomniała sobie i podyktowała mi adres pewnej Polki, która przychodziła do getta skupować różne przedmioty po niskiej cenie. Zeszłyśmy do Stefy, która czekała już na mnie. Pożegnałam się z Rachelą. Prosiłam ją, żeby czas spędziła u koleżanki Stefy, mieszkającej za rozległym polem. Odszedłszy na kilka kroków, odwróciłam się od niej, aby uśmiechem raz jeszcze ją pożegnać. Rachelę odwzajemniła się wołając:

- Nie zapomnij! Plac Grzybowski 5 albo 6!

W drodze do Warszawy gnębiły mnie myśli o Racheli. Przecież do niedawna była prawdziwą dobrą matką, a teraz jej uczucia matczyne zostały brutalnie przerwane. Wiedziałam, jak przeżywała tęsknotę i żałobę po utraconym dziecku, rodzicach i mężu. Straciwszy najdroższych

przełała swoją miłość na mnie. Troszczyła się o moje zdrowie. Podrzucała mi dyskretnie dodatkowe jedzenie, prała moją bieliznę i cerowała pończochy. Wszystko to wzruszało mnie i jednocześnie bolało.

W Warszawie pierwsze kroki skierowałam do krawcowej, u której byłam w kwietniu. Wy tłumaczyłam jej, że z powodu złego stanu zdrowia mojej siostry musiałam zrezygnować z tej pracy. Obawiałam się, że ta pani nie zgodzi się ponownie przyjąć mnie. Usłyszawszy jednak, że siostra była chora, wykazała zrozumienie i powiedziała, że chętnie zatrudni więcej pracownic, także moją siostrę. Pozostał mi problem znalezienia pokoiku.

Wysłałam na ulicę. Zaczęłam się głowić, co mam począć. Najlepiej będzie zwracać się do dozorców domów w tej okolicy. Po dziś dzień pamiętam tych dozorców. To oni orientowali się najlepiej, co się działo w domach. Ponadto jeszcze będąc w getcie słyszałam, że jest wśród nich wielu ludzi o dobrym sercu. Szłam więc od domu do domu. Od niektórych dozorców otrzymywałam szczegółowe informacje o rodzinach posiadających duże mieszkania. Inni zatrząskiwali drzwiami przed nosem. Znalazł się też taki, który obiecał sam dowiedzieć się, kto z lokatorów domu chce wynająć pokój. Krążąc od podwórza do podwórza doszłam do wniosku, że bardzo trudno znaleźć pokój w dużym mieście. Na dodatek poczułam ból w nogach. Moje buty obtarły mi skórę na piętach, które zaczęły krwawić. Musiałam odpocząć. Akurat stałam w pobliżu kościoła. Weszłam do środka, usiadłam w bocznej nawie. Z bólu czy też z innego powodu rozplakałam się w tym pustym kościele.

Czas jednak nagiął. Musiałam wrócić, ponieważ o czwartej miałam spotkać się ze Stefą na dworcu.

W wagonie Stefa opisała mi swoją ślubną suknię. Była wesola, zadowolona ze wszystkich zakupów. Udawałam, że słucham, ale nie mogłam się skupić, bo jedna tylko myśl kołatała mi się w głowie: Co z Rachelą?

Z dworca w Józefowie poszliśmy do domu na skrót, ścieżką przez lasek. Nagle zauważyłam przed nami sylwetkę młodego człowieka, który szedł w naszą stronę. Poznałam w nim narzeczonego Stefy. Kiedy zatrzymałam na chwilę wzrok na nim, wydało mi się, że jego twarz jest bardzo poważna, smutna. Patrzył tak, jakby chciał uniknąć mego spojrzenia. Poczułam niepokój. Podeszedł do nas, wziął Stefę za rękę. odprowadził ją kilka kroków ode mnie. Zatrzymali się i długo rozmawiali.

Zaczynałam coś podejrzewać.

Po chwili Stefa podeszła do mnie i poważnym głosem powiedziała:

- Elżbieto, dzisiaj w Józefowie Niemcy przeprowadzili akcję na Żydów. Hitlerowcy złapali czternastu ukrywających się, pośród nich naszego pastuszka i twoją Zosię. Mój szwagier zmuszony

był na oczach Zosi wykopać dla niej grób. Musiała też rozebrać się do naga. Sadyści zastrzelili ją trzema kulami. Już po pierwszej padła nieżywa, ale mimo to wpakowali w jej serce jeszcze dwie kule, po czym wrzucili ciało do grobu. Ty też jesteś w niebezpieczeństwie. Oni czekają na ciebie. . .

Stefa mówiła dalej. Opisała, jak moja siostra, już rozebrana, padła na kolana prosząc i błagając: “Jestem Polką. Pozwólcie mi żyć! Wielki Boże, ratuj mnie!”

Dalszych słów już nie słyszałam. Upadłam na ziemię. Stefa i jej narzeczony zniknęli z moich oczu. Szybko jednak poderwałam się na nogi. Zdruzgotana zawróciłam w stronę dworca kolejowego. W uszach słyszałam świst kul, które zabiły moją Rachelę, ale wewnętrzny głos nakazywał mi: “Biegnij ku życiu! Ratuj się!”

Po kilku minutach szybkiego marszu spostrzegłam w lasku wysokiego mężczyznę z psem, idącego w moją stronę. Byłam pewna, że to gestapowiec, który wpadł na mój ślad. Zwolniłam kroku i obojętnie czekałam na to, co się stanie. Tylko niema modlitwa snuła się wśród moich poplątanych myśli. Szłam dalej powolnym krokiem, ale im bardziej się oddalałam od lasku, tym bardziej zaczynałam przyśpieszać kroku, żeby zdążyć na ostatnią kolejkę do Warszawy. Przed wejściem do wagonu wyprostowałam plecy, przybrałam śmiały wyraz twarzy i zajęłam miejsce wśród pasażerów. Dusiałam w sobie ból, który rozrywał mi serce, i cicho oddychałam. Kiedy kolejka ruszyła, zaczęłam zastanawiać się: Do kogo jadę? Do kogo wstąpię? Kto mnie o tej porze wpuści do mieszkania? U kogo, przenocuję?

I wtedy przypomniałam sobie ostatnie słowa Racheli skierowane do mnie:

- Idź na Plac Grzybowski 5 czy 6. Może uda ci się znaleźć pracę dla nas obu.

Pod tym adresem mieszkało starsze małżeństwo. Pan był z zawodu krawcem. Jego żona często przychodziła do getta kupować tanio, co się dało. Bywała także u Racheli w domu na Karmelickiej. Kupowała u mego szwagra ubrania i inne wartościowe rzeczy. Zawsze okazywała mojej siostrze i jej dziecku współczucie.

Gdy doszłam na Plac Grzybowski 5, przystanęłam na chwilę. Zastanowiłam się, jak mam zacząć rozmowę z tymi ludźmi. Lekko zapukałam do drzwi. Otworzyła mi starsza pani. Popatrzyła na mnie i od razu uprzejmym ruchem ręki zaprosiła mnie do środka.

- Proszę wejść.

Szybko i cicho zamknęła drzwi, po czym spytała, kim jestem.

- Maja siostra Rachela, jej mąż i dziecko na ulicy Karmelickiej są pani dobrze znani. Nieraz pani kupowała u nich okazjnie różne rzeczy. Od kilku miesięcy mieszkałam razem z siostrą w Józefowie. Dzisiaj rano przyjechałam do Warszawy poszukać pracy. W drodze powrotnej do Józefowa - na ścieżce prowadzącej do gospodarki - podszedł do mnie zięć właścicielki domu z

wiadomością, że moja siostra nie żyje, hitlerowcy zastrzelili ją. A ja muszę natychmiast opuścić Józefów, jeśli chcę uniknąć śmierci. Stoję obecnie przed panią i proszę: Pozwólcie mi przenocować, zostanę tylko do rana. . .

Pani objęła mnie ciepłym spojrzeniem. Także jej mąż patrzył na mnie życzliwie. Poprosił, żebym usiadła. Podali mi szklankę gorącej herbaty i kawałek chleba. Oboje usiedli razem ze mną przy stole. Nie mówili. Z litością przysłuchiwali się. Mój wygląd i słowa przekonały ich.

Kiedy zdjęłam buty, ta pani zauważyła moje zakrwawione nogi. Szybko przyniosła miskę z wodą i mydło. W tym samym czasie mąż jej postawił obok krawieckiego stołu składane łóżko z pościelą.

Byłam pełna wdzięczności dla nich, ale nie potrafiłam im o tym powiedzieć. Byłam zdruzgotana wielkim nieszczęściem, które mnie spotkało tego przeklętego dnia, 7 lipca 1943 roku.

Dopiero po zgaszeniu światła, kiedy cały dom pogrążył się w mrocznej ciszy, gdy byłam, pewna, że nikt mnie nie widzi i nie słyszy, mogłam dać upust łzom. Płakałam i szlochałam do rana. Gdy opanowałam się, położyłam moją mokrą od łez koszulę na oczach. Posłużyła mi jako kompres. Od gorączki bijącej z twarzy i oczu koszula powoli wysychała.

Rano obudziła mnie gospodyni. Przygotowała dla mnie śniadanie. O ósmej otworzyła drzwi i odprowadzając mnie życzyła szczęścia.

Znalazłam się na ulicy. Nie wolno mi było myśleć o świeżej tragedii. . . Musiałam szukać dla siebie drogi do życia.

Rozdział czwarty

Chodziłam po ulicach, ale nie dostrzegałam mijających mnie ludzi. Chaos w głowie i strach w sercu nie hamowały jednak moich kroków. Szłam szybko, dokąd prowadził mnie instynkt. A prowadził mnie prosto do starszej siostry Janiny, pani Felicji, mieszkającej na Starym Mieście.

Weszłam do jej sklepiku z żywnością. Wraz z mężem obsługiwała swoich klientów. Na widok obcych twarzy przesłam szybko wzdłuż sklepu i wpadłam do ich mieszkania, do jadalni. Pani Felicja pospiesznie poszła za mną. Spojrzawszy na mnie zapytała:

- Czy twoje przyście w powszednim dniu mam uważać za zwyczajną wizytę?

- Stało się nieszczęście. Zostałam sama. Bez dachu nad głową - wykrztusiłam z trudem, a łzy spływały mi po twarzy.

- Usiądź, potem pomyślimy, co dalej robić - uspokoiła mnie Felicja i wróciła do sklepu.

Siedząc sama przy stole zobaczyłam na nim notes i ołówek. Wykorzystałam ten moment, aby napisać list do Reni w Milanówku. Chciałam w ten sposób wyciszyć szarpiący mnie niepokój i odzyskać równowagę ducha. Napisałam:

“Moja droga przyjaciółko! Bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć w Warszawie. Przyjedź z dzieckiem i nie zapomnij przywieźć obiecanego prezentu, który jest mi teraz bardzo potrzebny. Mam szansę dostać pracę. Kiedy masz zamiar pojechać do wujka Haliny? Jak tylko zacznę pracować, wyślę ci mój nowy adres. Całuję was oboje

Twoja Elżbieta”

W południe, w porze obiadowej, Felicja i jej mąż zamknęli sklepik. Usiedliśmy przy stole. Opowiedziałam im o śmierci mojej siostry. Chociaż okrucieństwa Niemców były im dobrze znane, wieść o mordzie dokonanym w Józefowie wstrząsnęła nimi do głębi. Raz po raz żegnali się krzyżem. Widziałam, że mi współczują.

Po wysłuchaniu mnie zaczęli się po cichu naradzać. Po chwili Felicja wstała i stanowczym głosem oświadczyła:

- Elżbieto, najlepiej będzie, jeśli się znajdziesz blisko Janiny. Zanim jednak spotkasz się z nią, upłynie trochę czasu. Pozostaniesz na razie w Warszawie, u mojej byłej sąsiadki, która niedawno wróciła z obozu w Ravensbrück. Ona boryka się z ciężką sytuacją materialną i dlatego chętnie wynajmie ci pokój.

Felicja napisała krótki liścik do swojej znajomej, Ireny. Wręczając go poinformowała mnie, którędy mam do niej pójść. Przy pożegnaniu obiecała mi też, że jak tylko Janina pojawi się w Warszawie, nie omieszka mnie odwiedzić.

I znów byłam sama na ulicy. Znowu miałam chaos w głowie. Znowu szukałam dla siebie

kąta. Nie znałam ulic, którymi szłam, ale jakoś dotarłam do pani Ireny. Śmiało podałam jej liścik Felicji i udając cierpliwość czekałam na odpowiedź. Irena przyjęła mnie gościnnie. Wprowadziła do małego pokoiku, w którym stało łóżko i szafa, zasłaniająca drzwi do sypialni Ireny. Cienka przegroda między szafą a drzwiami skazała mnie w przyszłości na mimowolne podsłuchiwanie nocnych rozmów Ireny z mężem.

Usiadłyśmy obie na łóżku. Chciałam uniknąć rozmowy, ale pani Irena obsypała mnie gradem pytań. Zauważywszy, że jestem zmęczona, przyniosła mi herbatę i wyszła z pokoju.

Dzień był ciepły. Złote promienie słońca wpadały do mojego pokoiku oświetlając go swoim blaskiem. Ale mimo to było mi zimno. Czułam ból i zamęt w głowie. Chciałam położyć się do łóżka, być sama. Pozostać w mojej samotności, zachować ostrożność, żeby nie obnażać jątrzącego mnie strachu i rozpacz.

W łóżku zaczęłam rozmawiać ze sobą. Przekonywałam siebie, że muszę zebrać siły potrzebne do zmazania z twarzy wszystkich śladów przeżytej tragedii. Staralam się uwierzyć, że od dziś moje życie zależeć będzie jedynie od chęci przetrwania. Toteż postanowiłam nie myśleć o wczorajszym dniu, o śmierci Racheli w Józefowie.

Uspokojona, zapadłam w sen. Rano weszłam do kuchni, usiadłam przy stole obok Ireny, która zaczęła opowiadać o swoich przeżyciach w obozie. Przetrwała tam dziesięć straszliwych miesięcy. Nic dziwnego, że pozostały w niej kompleksy typowe dla osoby poniżanej. Na jej młodej twarzy widać było cierpienie i ból. Słuchałam jej z szacunkiem i uwagą. Zrozumiałam, że potrzebuje człowieka, przed którym będzie mogła otworzyć swoje zbolące serce. Chciałam zostać tym człowiekiem, pozyskać jej przyjaźń i zaufanie.

Czas mijał szybko. Czułam się coraz pewniej i nabierałam wiary, że teraz nie grozi mi niebezpieczeństwo. Potrafiłam umocnić w sobie przekonanie, że jestem Polką. Codzienne przebywanie w domu Ireny zbliżało nas do siebie. Pomagałam jej często w pracach domowych, zwłaszcza wymagających fizycznego wysiłku. Irena odplacała mi przyjaźnią.

Zwierzała się, dzieliła się ze mną swoimi troskami, zmartwieniami i rozczarowaniami. Najbardziej bolało ją złe zachowanie i postępowanie jej męża. Pewnego wieczoru podczas szczerzej rozmowy ze mną powiedziała:

- Po zwolnieniu z obozu wiele godzin spędziłam w pociągu do Warszawy. Przyjechałam do miasta kompletnie wyczerpana. Do domu dotarłam późno w nocy. Mąż otworzył mi drzwi, ale do sypialni mnie nie wpuścił. Była tam jakaś kobieta. Zszokowana, postanowiłam przenocować na korytarzu. Zostałam tam aż do chwili, kiedy ta osoba opuściła moje mieszkanie. . . Jest złym mężem. Bardzo często krzyczy na mnie i upokarza. Swoje zarobki przepuszcza z innymi kobietami. Czuję się samotna, zrezygnowana.

Irena wyglądała na kobietę czterdziestoletnią. Jej postępowanie świadczyło o tym, że była dobra, życzliwa i pracowita, ale zbyt nerwowa. Często w sporach z mężem, nawet gdy chodziło o drobnostkę, potrafiła przesadnie reagować. Nieraz dochodziło między nimi do kłótni i gróźb, wtedy nawet krzyczała na niego. W takich sytuacjach ogarniał mnie lęk.

Po pewnym czasie zauważyłam, że w mieszkaniu przebywa jeszcze jeden mężczyzna. Nie pytałam o niego, ponieważ sądziłam, że jest członkiem rodziny. Przyznam się jednak, że byłam ciekawa, kim jest ten człowiek. Trzymałam się jednak zasady: "słuchać i milczeć". Któregoś dnia Irena przyszła do mojego pokoju i sama opowiedziała mi dzieje tego, jak go nazywała, nieproszonego gościa, który kręcił się po jej mieszkaniu.

- Jest to Niemiec z Berlina, który zajął pokój u nas. Otrzymał przydział z niemieckiego urzędu kwaterunkowego. Odsiedział dłuższy wyrok na Pawiaku za kradzież futra podczas segregowania rzeczy zabranych Żydom. Jadąc na urlop zawiązał żonie skradzione futro. Sąsiedzi z zazdrości donieśli o tym na policję. Po powrocie do Warszawy został aresztowany i skazany na dłuższą odsiadkę na Pawiaku. Obecnie żyje w biedzie i nie może wrócić do Niemiec. Tymczasem jego żona przeprowadziła z nim rozwód. W liście zawierającym akt rozwodowy napisała, że urodziła córkę, ale on dziecka nigdy nie zobaczy, albowiem popełnił przestępstwo wobec ojczyzny. Teraz mieszka u mnie, a ja muszę Szwaba obsługiwać.

Irena zaprosiła mnie na kolację w niedzielę, ponieważ tego dnia obchodziła urodziny. Podziękowałam jej z wesołą miną, ale daleko mi było do radości. Poczułam jakiś niepokój w sercu. Złe myśli zaczęły mi chodzić po głowie.

Zastanawiałam się: Czy przypadkiem Szwab nie domyśli się mojego pochodzenia? Czy mam rozumieć jego język, czy też udawać, że nie rozumiem? Na początku wojny Niemcy nie umieli odróżnić Żyda od Polaka, ale później nabrali wprawy.

Znowu zaczęły się dni nieustannego kontrolowania siebie. Spokój nie był mi sądzony. W niedzielę starałam się być w dobrym nastroju. Musiałam się dostosować do dobrego humoru gospodyni, której urodziny mieliśmy wieczorem uroczyście obchodzić. Uczesałam się, dokładnie wyprasowałam sukienkę i wyczyściłam pantofle. Dzień był inny niż pozostałe. Minął niesłychanie szybko. Byłam nieco zakłopotana, ponieważ nie miałam podarunku dla Ireny. Ale bałam się zaryzykować i zejść coś kupić.

Wieczorem weszłam do Ireny, ucałowałam ją, złożyłam życzenia. Jej mąż siedział przy stole elegancko ubrany. Irena wskazała mi krzesło. Obok mnie stało drugie, które zajął Niemiec. Rozmowa toczyła się po niemiecku. Przez cały czas musiałam pamiętać, że nie rozumiem tego języka. Do mnie moi gospodarze zwracali się po polsku.

Podczas jedzenia i picia towarzystwo się rozgrzało, nabrało humoru. Posypały się dowcipy.

Rozległy się śmiechy. Najbardziej bawiły ich dowcipy o Żydach. Serce mi krwawiło, ale twarz przybrała wesoły wyraz. Wieczór minął i wszystko by się zakończyło, gdyby Irena nagle nie zapragnęła odpowiedzieć, co jej się śniło ostatniej nocy.

- Spacerując po ulicy, spotkałam sąsiadkę, która opowiedziała mi krążące na naszej ulicy plotki. Śmiałam się do rozpuku. W pewnej chwili podniosłam oczy ku górze i ujrzałam wyglądającą z mojego okna Żydówkę, która przysłuchiwała się naszej rozmowie i śmiechom. Zawołałam na nią, żeby zeszła na dół na wspólny spacer. I w trakcie czekania na nią obudziłam się.

Zareagowałam na opowieść Ireny fałszywym uśmiechem, by nie zdradzić się tym, co naprawdę czułam. Serce waliło mi jak młotem.

Po kolacji pomagałam posprzątać kuchnię. Nie mogłam doczekać się powrotu do mojego pokoju. Leżąc w łóżku zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam. Czy Irena naprawdę miała taki sen, czy go wymyśliła, aby mnie sprowokować.

Bardzo martwiło mnie również przebywanie w jednym mieszkaniu z Niemcem. Możliwe, że od tej chwili będzie mnie uważnie obserwował i przy pierwszej sposobności odda w ręce gestapo. To mu pomoże zrehabilitować się. Staralam się jednak pocieszyć, że Niemiec zaprzątnięty jest własnymi troskami i nie ma głowy do zajmowania się innymi ludźmi. Sam miał poważne kłopoty. Wszystkie te rozmyślenia wywołały we mnie gniew przeciwko sobie. Czy strach tak wyraźnie wyziera z moich oczu, że skłania ludzi do podejrzewania mnie o żydowskie pochodzenie? Dopiero kilka tygodni minęło od mego przyjazdu do Ireny, a już jakaś tajemnicza siła gna mnie do ucieczki. Czy sama nie ponoszę winy za mój los?

Z drugiej jednak strony wyłaniało się inne pytanie. Czy mój strach nie ma uzasadnienia po tym, co się stało w Grudowie? W Józefowie? A strach ten jest pewnego rodzaju czujnością, która pozwala mi przewidywać wydarzenia, żeby uciec przed śmiercią. Czy mogę zignorować uwagę Niemca, który powiedział, że oddychaniu Elżbiety towarzyszy westchnienie?

Wszystkie te medytacje urwały się w chwili, kiedy od Felicji otrzymałam wiadomość, że w najbliższą niedzielę odwiedzi mnie Janina. Uradowana weszłam do Ireny uprzedzając ją, że wkrótce odwiedzi mnie moja chrzestna matka. Wypatrywałam Janiny z wielką niecierpliwością. Liczyłam dni, godziny i minuty.

Przed jej wizytą nie mogłam w nocy zasnąć. Napięcie wywołane oczekiwaniem przekształciło się w niepokój. Nagle w środku nocy usłyszałam cichą rozmowę Ireny z mężem. Odniosłam wrażenie, że dotyczy mojej osoby. Zerwałam się z łóżka, nastawiłam uszu i zaczęłam podsłuchiwać. Mówił mąż Ireny:

- Zobaczysz, wkrótce wypędzimy Niemców z Warszawy. Razem z Rosjanami utworzymy front. . . Gromadzimy broń. Przypuścimy atak. . .

Potem coś szeptali, ale po chwili usłyszałam, jak Irena pytała:

- Czy jeszcze zostaną w Polsce Żydzi? Przez chwilę panowało głucho milczenie, a potem padła odpowiedź:

- Żydzi zostaną wybici co do nogi. Ani jeden nie pozostanie przy życiu.

- Ale w Ameryce jest przecież wielu Żydów - powiedziała Irena.

Mąż zaczął coś jej wyjaśniać, ale tego ze zdenerwowania nie usłyszałam. Wróciłam do łóżka zrozpaczona. Niewiele brakowało, a rozplakałabym się, ale strach, żeby nie być usłyszaną, powstrzymał mnie.

Nieliczne tygodnie mojego pobytu w Warszawie, które z początku przyniosły mi odprężenie, z czasem zamieniły się w jedno pasmo niepokoju, strachu i lęku. Oszukańcza iskra nadziei jednak nie opuszczała mnie. Nie poddałam się czyhającej na mnie śmierci. Wierzyłam, że odwiedziny Janiny upewnią moich gospodarzy o tym, że jestem prawdziwą Polką.

W niedzielę po południu przyszła do mnie Janina. Moja radość nie miała granic. Irena oraz jej mąż serdecznie ją przywitani i zaprosili nas na herbatę. Zachowywaliśmy się jak bliscy sobie ludzie. Wytworzył się serdeczny nastrój. Janina była w znakomitym humorze. Była niezwykle rozmowna. W wypowiedziach na tematy polityczne wykazała dobrą orientację. Rozmawialiśmy po polsku, mimo iż przy stole siedział Niemiec. Od czasu do czasu Janina dyskretnie spoglądała na mnie. Wyczuwała mój niepokój.

Prawie dwie godziny spędziliśmy razem. Potem Janina weszła do mojego pokoju. Przedstawiłam jej sytuację, w której się znalazłam. Opowiedziałam jej o śnie Ireny. Wymówiłam obawę, że mogła to być aluzja do mojego pochodzenia. Mówiłam o podsłuchanej nocnej rozmowie Ireny z mężem i o tym, że Niemiec usłyszał kiedyś, że westchnęłam. Wszystko razem było dla mnie zapowiedzią niebezpieczeństwa. Zaczęłam myśleć o ucieczce. Janina cierpliwie mnie wysłuchiwała, po czym oświadczyła:

- Z tego, co mówisz, wynika, że muszę poszukać dla ciebie nowego schronienia. Mam taką samotną kobietę, wdowę. Sądzę, że będziesz mogła u niej zamieszkać. Porozmawiam z nią i dam ci znać.

Nagle Janina przerwała rozmowę i podeszła do okna. Dostrzegła granatowe chmury zapowiadające zbliżającą się burzę. Szybko włożyła płaszcz i razem zeszyliśmy na dół. Zatrzymaliśmy się w bramie. Rozejrzawszy się dookoła Janina nieco zażenowana zapytała:

- Elzuniu, czy nie byłoby słuszniej, żebyśmy poszli do księdza z mojej parafii i otwarcie mu wszystko wyznały? Wierzę, że nie odmówi pomocy, że poda ci rękę. Twoje życie jest zagrożone. Chcę ci pomóc, ale kto wie, jak długo potrwa polowanie na Żydów? Tylko Kościół może dać ci szansę przetrwania. Uszyję ci białą sukienkę i zaprowadzę cię do Świętej Komunii, co

o tym sądzisz?

Na tym Janina urwała, a ja zamyśliłam się nad jej słowami. Po dłuższej chwili milczenia Janina objęła mnie i obiecała rychło odwiedziny. Wyszła z bramy w pośpiechu i udała się w drogę powrotną do swojego Milanówka.

Od czasu do czasu Irena zapraszała mnie na wspólny spacer. Ja jednak pod różnymi pretekstami wykręcałam się od tego. Moje ciężkie przeżycia nauczyły mnie unikać ulic i kontaktów z ludźmi, mimo iż ciężko znosiłam samotność. Psychicznie byłam ciągle nastawiona na przygotowanie sobie nowego miejsca azylu. Upatrywałam w tym szansę uratowania życia. Często pozostając sama w mieszkaniu zajmowałam się sprzątaniami kuchni. Otwierałam szeroko okna, aby spojrzeć na kojące piękno nieba i podziwiać subtelne odcienie błękitu. Wydawało mi się wtedy, że niebo uśmiecha się do mnie. Pewnego razu wychylając się, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, spostrzegłam na podwórzu biednie ubraną kobietę, która zbierała stare wyrzucone rzeczy i wkładała je do worka. Pomyślałam, że mogłabym nawiązać z nią kontakt. Wzięłam moje drewniaki i szybko zbiegłam na dół. Podarowałam je ubogiej kobiecie. Obiecałam także, że w przyszłości znajdę jeszcze inne drobiazgi. Ogromnie ucieszyła się z moich bucików. Podała mi swój adres i określiła, jakimi ulicami trafię do jej mieszkania. Potem zarzuciła worek na zgarbione kościste plecy i poszła.

Pod koniec sierpnia zaczęły się ulewne deszcze. Zachmurzone dni rozdierane piorunami i błyskawicami groziły niebu, że za chwilę runie na ziemię. Pewnego wieczoru panująca w pokoju gęsta ciemność zagnała mnie do łóżka, ale silne krople deszczu, które uderzały bez przerwy w szyby, nie dawały mi spokoju. Wstałam, aby pójść do kuchni i zgotować herbatę. Nim przekroczyłam próg, usłyszałam głośną rozmowę Ireny z Niemcem. Oni zauważywszy mnie zamilkli. Pozdrowiłam ich, ale nie raczyli odpowiedzieć. Poczulałam na sobie ich wrogie spojrzenia.

Przerażona ich zachowaniem, zadawałam sobie pytanie, co to ma znaczyć. Jednocześnie udawałam spokojną, jak gdybym nic nie zauważyła. Nalałam dla siebie herbatę i spytałam Irenę, czy też chce się napić. Przecząco pokręciła głową.

W niedzielę zostałam sama w domu. Stałam przy etażerze, na której leżało kilka książek. Zaczęłam je z ciekawości przeglądać. Chciałam zobaczyć, co czytają moi gospodarze. Nagle usłyszałam gwałtowne uderzenie w drzwi frontowe. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Książka wypadła mi z ręki, stałam bez ruchu i czekałam. Po chwili rozległ się jeszcze mocniejszy łomot do drzwi i krzyki: "Aufmachen! Aufmachen!" Łomot pochodził nie od uderzenia ręką, lecz pistoletem. O dziwo nie straciłam przytomności umysłu. Schwyciłam torebkę i na palcach w ciągu kilku sekund przez tylne kuchenne drzwi zbiegłam ze schodów i znalazłam się na ulicy. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się zapanować nad gwałtownym biciem serca, drzeniem rąk i nóg. Powolnym

krokiem szłam przed siebie. Zatrzymałam pierwszą nadjeżdżającą dorożkę, wsiadłam i poleciłam zawieźć się na ulicę, gdzie mieszkała poznana niedawno biedna kobieta. Nie podałam dorożkarzowi dokładnego adresu. Nie chciałam zostawić po sobie śladu.

Drzwi otworzyła biedna kobieta. Ze zdziwieniem spojrzała na mnie, a potem ucieszyła się. Była pewna, że przyniosłam jej obiecane rzeczy. Przysunęła mi krzesło, sama usiadła obok mnie i zaczęła opowiadać o nieszczęściu, które spotkało ją podczas tej wojny. Jej jedyna córka Basia cierpi na melancholię i jest niezdolna do pracy. Matka mimo podeszłego wieku musi sama troszczyć się o kawałek chleba. Dziewczyna siedzi cały dzień w oknie i nic nie robi. Nie reaguje, kiedy się mówi do niej. Wszelkie prośby nie pomagają.

Nagle otworzyły się drzwi wiodące do drugiego pokoju. Ukazała się w nich Basia. Odniosłam wrażenie, że usłyszała naszą rozmowę i chciała zobaczyć, komu matka o niej opowiada.

Dziewczyna miała osiemnaście lat, była piękna, zgrabna, wysmukła. Poruszała się leniwie, flegmatycznie. Było widać, że jest wstydliva, przybita, apatyczna. Po chwili wróciła do swojego pokoju. Matka opowiadała dalej:

- Całe dni biegam po mieście, żeby zarobić na kawałek chleba. Córka siedzi sama wśród milczących czterech ścian pokoju. Samotność i bezczynność pogłębiły jej chorobę, a ja nie mam środków na leczenie jej.

Śluchając słów nieszczęsnej matki pomyślałam, że dobrze byłoby powiązać nasze tragedie. Z miejsca zaproponowałam:

- Jestem gotowa zająć się pani córką, żeby ją wyciągnąć z depresji i uwolnić od gnębiącej samotności. Postaram się zdobyć jej zaufanie. W ten sposób może uda się poprawić jej stan psychiczny.

Wyjaśniłam, że w Warszawie jestem od niedawna, szukam pracy i mieszkania. Jeśli znajdę u nich miejsce, to z chęcią zajmę się córką. Na to biedna matka oświadczyła:

- Ależ oczywiście. Ma pani u mnie łóżko.

Szybko poszła do kuchni ugotować kartoflanekę. Do stołu usiadłyśmy we trzy. Wyglodzone, jadłyśmy z apetytem smaczną zupę. Podczas jedzenia zastanawiałam się, jak mam zacząć rozmowę z Basią. Do tej pory ani razu nie spojrzała na mnie, ale mimo to, gdy wstała od stołu, zwróciłam się do niej:

- Basiu, proszę zostań ze mną, porozmawiamy. Mam dużo wspomnień, które ciebie zaciekawia.

Basia spuściła oczy i nie odpowiedziała. Wyszła do swego pokoju. Minął dzień. Kiedy się ściemniło, matka Basi pościeliła dwa łóżka. Jedno dla siebie z córką, drugie dla mnie. Była to jedna z nielicznych nocy, podczas której nie gnębił mnie niepokój. Noc, po której wstałam wzmocniona i

uspokojona.

Rano czułam się pełna energii i inicjatywy. Matka Basi wyszła z domu szukać zarobku. Przed odejściem prosiła córkę, żeby odnosiła się do mnie przyjaźnie. Podeszłam do Basi z wyciągniętą ręką. Przez chwilę nie reagowała, po czym nagłym ruchem podała mi swoją. Zaproponowałam, żeby usiadła ze mną przy stole, coś wypić i zjeść. Ona jednak podeszła do okna i obojętnie patrzyła przed siebie. Ja, nie bacząc na jej obojętność, postawiłam na stole dwie szklanki herbaty i dwie kromki chleba.

- Basiu - odezwałam się do niej - chodź do stołu. Zjemy razem śniadanie, a potem opowiem ci o sobie. Chcę, żebyśmy były dla siebie siostrami. Opowiem ci o moich przeżyciach. Usiądź i posłuchaj.

Basia usiadła. Zjadła to, co przygotowałam, i nie wstała od stołu. Czułam, że skłonna jest mnie wysłuchać.

- W pierwszych dniach wojny - zaczęłam opowiadać - dom nasz został zbombardowany. Moi rodzice zginęli pod gruzami. Musiałam sama zatroszczyć się o siebie. Odtąd jestem bezdomna, samotna, bez bliskich i krewnych. Sama muszę się utrzymywać. To samo zdarzyło się milionom ludzi, którzy zostali bez dachu nad głową. Każdy człowiek mimo wszystko chce żyć, pracować i żywi nadzieję, że przyjdą lepsze czasy. Ty jesteś piękna i młoda. Masz matkę, która troszczy się o ciebie. Czemu nie miałabyś czuć się szczęśliwa? Na pewno znajdziesz i doznasz dużo miłości. Opowiedz mi, co cię trapi, co cię boli? Czy ktoś ci wyrządził krzywdę? Opowiedz, Basieńko!

Słowa moje dotarły do jej uszu, ale nie odezwała się. Trudno było coś z niej wydobyć. Mimo to nie zrezygnowałam. Nie ustawałam w wysiłkach, aby znaleźć okazję do rozmowy.

Wieczorem wróciła matka Basi. Przyniosła worek pełen starych szmat. Mimo zmęczenia szybko przygotowała ciepłą kolację.

Pokrzepiliśmy się zupą. Basia, wciąż milcząc, zjadła i wyszła do swojego pokoju. Za nią poszła matka i przez krótki czas tam pozostała.

Gdy wróciła do jadalni, zauważyłam, że jest pogodniejsza.

Szarość wieczoru powoli gęstniała. Zapadła noc. Pani domu zmęczona całodziennymi poszukiwaniami zaczęła ścielić łóżka. Ponieważ nie używałyśmy światła, wcześniej kładłyśmy się spać.

Trzeciego dnia nad ranem zastałam w kuchni starszą panią obierającą kartofle. Przygotowywała je na wieczorny posiłek. Zapytałam ją, dlaczego tak wcześnie wstała.

- Miałam ciężką noc - odpowiedziała.

Dobrze ją rozumiałam. Nie było łatwo po dniu męczącej pracy spać na jednym pościeliu z córką.

Po śniadaniu mama Basi wzięła worki i wyszła. Stwierdzenie nieszczęśliwej matki, że miała przykrą noc, bardzo mnie zabolalo. Pomyślałam, że nie będę mogła tutaj długo pozostać i muszę jak najszybciej spotkać się z siostrą Janiny, panią Felicją. Ażeby zostawić Basię samą, przygotowałam sobie wymówkę.

Podeszłam do niej i zaczęłam rozmawiać z nią jak ze zdrowym człowiekiem:

- Basiu, wybieram się teraz do szpitala, ponieważ przyrzekłam odwiedzić chorą znajomą. Postaram się jednak szybko wrócić.

Basia odwróciła się do mnie. W jej spojrzeniu wyczułam, że nie chce pozostać sama. Byłam jednak w rozpaczliwej sytuacji, nie wolno mi było siedzieć z założonymi rękami i czekać. . . Musiałam koniecznie skontaktować się z Janiną za pośrednictwem jej siostry. Wyszłam na ulicę i zaczęłam szybko iść w stronę Starego Miasta. Zdyszana wpadłam do mieszkania Felicji. Gdy wyjaśniłam jej powody, dla których zmuszona byłam uciec z domu Ireny, i powiedziałam, że znajduję się teraz u ludzi, którzy przygarnęli mnie na kilka dni, zaniemówiła. Po chwili odetchnęła, z litością spojrzała na mnie i rzekła:

- Janina przyjedzie w niedzielę do Warszawy. Prosiła, żebyś o dziesiątej czekała na nią przy zegarze na dworcu kolei podmiejskiej. Mówiła, że znalazła dla ciebie miejsce, gdzie będziesz mogła się ukryć.

Przed wyjściem Felicja włożyła mi do torebki małą paczuszkę. Przy pożegnaniu uspokoiła mnie słowami pełnymi otuchy i pokrzepienia.

Po powrocie zastałam Basię przy oknie. Siedziała tam od samego rana. Podeszłam do niej, wzięłam za rękę i razem usiadłyśmy przy stole.

- Zobacz - zwróciłam się do niej łagodnym głosem - co kupiłam. Urządzimy sobie święto!

Otworzyłam paczkę. Były w niej dwa ciastka-jagodzianki. Poprosiłam Basię, by zgotowała herbatę. Ale ona jakby zastygła w bezruchu. Nagle poruszyła się. Wstała, wzięła kilka szczap drewna, położyła pod kuchnią i zapaliła. Tym razem została ze mną i czekała. Nalałam herbatę i rozgadałam się o chorej w szpitalu. Basia wprawdzie nadal milczała, ale przysłuchiwała się. Zmienił się jej wyraz twarzy. I kiedy siedziałyśmy delektując się ciastkami, których smaku dawno już zapomnieliśmy, zauważyłam iskierkę zadowolenia w jej błękitnych oczach.

Podczas nielicznych dni spędzonych z Basią i jej matką starałam się uzbroić w ogromną cierpliwość i zrozumienie, aby w jakiś sposób podnieść je na duchu. Nie mogłam jednak zapominać, że nad moją głową stoi anioł śmierci, że mieszkanie, w którym się znajduję, otoczone jest oficynami, z których okien zagląдают sąsiedzi. Wśród tych ludzi może się znaleźć ktoś, kto pozna we mnie Żydówkę i odda w ręce gestapo. Ponieważ umówiłam się z Janiną na niedzielny wyjazd z Warszawy, zaczęłam szukać odpowiedniej chwili, aby pomówić z matką Basi o mojej

decyzji. Wieczorem zatrzymałam ją w kuchni, aby wytłumaczyć się.

- Droga pani, zauważyłam, że pani codzienna praca jest ciężka i trudna. Na dodatek te męczące bezsenne noce. Nie chcę być dla was jeszcze jednym ciężarem. Postanowiłam w najbliższą niedzielę odwiedzić moją chrzestną matkę. Jest krawcową. Być może, zacznę u niej pracować i mieszkać.

- A co będzie z Basią? Będzie jej ciebie brakowało - powiedziała starsza pani.

Zamyśliłam się nad ich i moją sytuacją. Mierzyłam, ważyłam ich cierpienia i własny los.

- Proszę wytłumaczyć jej, że w niedzielę muszę wyjechać. Pani zaś obiecuję, że będę się starała was często odwiedzać. Kocham was i nigdy nie zapomnę - odpowiedziałam.

W nocy ciągle wydawało mi się, że gestapo mnie goni. Mimo że cały dom pogrążony był we śnie, nie mogłam ze strachu zmrużyć oka. Zadawałam sobie także pytanie: Czy moje odejście nie będzie zbyt bolesne dla Basi i jej matki. Czułam, że moja obecność wzbudziła w nich nadzieję. Pragnęłam pomóc im, wyciągnąć samotną dziewczynę z melancholii, ale trapiący mnie lęk nie pozwalał mi dłużej zostać. Chęć życia przewyciężyła we mnie wszelkie wątpliwości.

W niedzielę rano po raz ostatni jadłyśmy razem śniadanie. Byłyśmy przybite. W pewnej chwili przerwałam ciszę pytaniami skierowanymi do Basi:

- Basieńko, jaka jest przyczyna twojego milczenia? Czyżby ktoś cię skrzywdził albo dokuczył, a może masz żal do kogoś? Opowiedz, otwórz serce przed twoją mamą, to ci przyniesie ulgę i całkiem wyzdrowiejesz. Najlepszą przyjaciółkę znajdziesz we własnej mamie. Wierzę, że wrócę do was i odnajdę ciebie wesołą i szczęśliwą.

Ciężko mi było rozstać się z nimi. Ale przede wszystkim chciałam żyć! Serdecznie, ze łzami w oczach pożegnałyśmy się.

O umówionej godzinie spotkałam Janinę na dworcu. Jej szczerzy uśmiech dodał mi siły i odwagi.

Ona i tylko ona może mi pomóc - pomyślałam.

Po paru minutach wsiadłyśmy do tej samej podmiejskiej kolejki, która wracała do Milanówka. Stąd poszłyśmy do wioski. Wąska ścieżka zaprowadziła nas do drewnianej chaty, w której mieszkała starsza, samotna wdowa. Zobaczyłyśmy ją na ganku. Dawła nam znak ręką, że na nas czeka. Po zapoznaniu się spojrzałam jej w oczy. Od razu zaprosiła nas do mieszkania. Miłym głosem zaczęła rozmowę z Janiną. Zaproponowała ciepłe picie. Ponieważ Janina spieszyła się do swoich obowiązków, pożegnała się z nami i przyrzekła, że wkrótce nas odwiedzi. Po jej odejściu znieruchomiałam, stałam z opuszczoną głową, przygnębiona i rozbita. Czułam się słaba i bezradna.

Rozdział piąty

Starsza pani od razu zaczęła zwracać się do mnie po imieniu.

- Elżbieto, napijmy się gorącej herbaty zamiast wina, aby uczcić naszą znajomość.

Siedząc przy stole czułam miłe ciepło rozchodzące się po mieszkaniu. Właścicielka zwinnie krzątała się po kuchni i wnet przyniosła słodki poczęstunek. Przyglądałam się jej. Wzruszyła mnie swoją gościnnością. Wpadłam na pomysł nazwania jej babcią. Po raz pierwszy od kilku lat mogłam użyć słowa "babcia", za którym tak bardzo tęskniłam. Skorzystałam z tej możliwości dziękując mojej nowej gospodynie za serdeczne przyjęcie.

Zdawało mi się, że zerknęła na mnie i sympatycznie uśmiechnęła się. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu wzajemnie spoglądając na siebie. Zamęt w głowie nie pozwalał mi mówić. Także "babcia" pogrążona była w rozmyślaniach i chyba nie chciała zadawać mi pytań. Gdy zaczęła mówić, oddychała ciężko. Ramiona jej unosiły się i opadały. Opowiadała:

- Całe życie pracowałam poza domem. Do dzisiaj robię wszystko, żeby nie być ciężarem dla rodziny. Jestem zdrowa, silna i cieszę się życiem. Dokucza mi samotność. Chata, w której mieszkam, jest na odludziu. Wierzę, że ty, Elżbieto, doznasz spokoju w moim ubogim domu. Razem na pewno będzie mam rażniej.

Gdy zapadł zmierzch, "babcia" pościeliła dwa łóżka. Na moim położyła dużą poduszkę, na niej jasek i długą, szeroką pierzynę. Na widok tej pościeli poczułam się śpiąca. Byłam bardzo rozbita przeżyciami ostatnich dni: ucieczką z domu Ireny, rozstaniem z Basią i jej matką oraz wyczekiwaniem na przyjazd Janiny. Wreszcie ułożyłam się do snu. "Babcia" dała mi klucz od chaty, ponieważ raniutko szła do pracy. Uprzedziła mnie, że wychodząc z mieszkania zamyka drzwi z zewnątrz. Zapewniła mnie, że mogę spokojnie spać, bo nikt tutaj nie przychodzi. Miałam ochotę pocałować ją, ale powstrzymałam się, bojąc się okazać zbyt dużo serdeczności, która jest cechą żydowską. Wtuliłam się w pierzynę, głowę ułożyłam na jaśku, było mi dobrze i ciepło. Przestałam drżeć. Szybko usnęłam.

W środku nocy obudziłam się. Przed oczami pojawił się obraz mojej siostry. Po raz pierwszy mogłam spokojnie o niej pomyśleć, "zobaczyć" wszystko, co się wydarzyło, jej męki i katusze: widziałam, jak moja Rachela padła na kolana modląc się i błagając o litość swoich niemieckich katów, musiała przyglądać się Polakom przymuszonym do wykopania dla niej grobu i zmuszona była do rozebrania się do naga. Jak zastrzelono ją trzema kulami, w skroń, serce i plecy. Najdroższa siostra moja wpadła do grobu. Niezapomniana, pozostawiła głęboką ranę w moim sercu.

Dniało, kiedy usłyszałam, jak "babcia" wychodzi do pracy. Wtedy usnęłam powtórnie

kamiennym snem. Długo leżałam w łóżku, aż poczułam miękkie pogłaskanie po twarzy - to jesienne słońce obniżało się kłaniając się ziemi przed zachodem. Staralam się wymazać z twarzy wszelkie ślady koszmarnych myśli i obrazów przeżytych w nocy.

Zewnętrznie spokojna, rozglądałam się po mieszkaniu: długi pokój oddzielony był od kuchni szeroką, ciemną i nieprzezroczystą kotarą. W jednej części były drzwi i dwa okna, z których oprócz drzew nic więcej się nie widziało. Pod ścianami w pokoju stały dwa wiejskie łóżka, a pośrodku - stół z krzesłami. Była też duża szafa. Za kotarą mieściła się kuchnia, a w niej gliniana kuchenka. Na ścianie wisiała półka do naczyń, a na podłodze stał taborecik i małe krzeselko. Okno w kuchni było do połowy zasłonięte firanką. Całe mieszkanie wyglądało dość przytulnie. Wydawało mi się, że tutaj z dala od ludzi nikt mnie nie spotka, nie zobaczy i złe oko mnie nie dosięgnie.

Przed wieczorem "babcia" wróciła z pracy. Podkasła rękawy i dziarskim krokiem weszła do kuchni. Przygotowała dla nas ciepłą zupę i kawałek czarnego chleba. Posiliłam się. Czułam się mocniejsza i w lepszym nastroju. Kiedy noc zapadła, siedziałyśmy w ciemności i milczeniu. Nie było pieniędzy na kupienie lampki naftowej. W ciemności nie mogłam obserwować "babci".

W soboty "babcia" wracała wcześniej z pracy - kiedy słońce jeszcze było dalekie od spotkania z księżycem - wówczas mogłam się jej przyglądać. Cicho i lekko chodziła po chacie. Była bardzo wychudzona, miała zapadnięte policzki, ale kształtny nos i długa łabędzia szyja przypominały młodość. Jej gęste brwi podkreślały lazurkowo-niebieskie oczy o ostrym i przenikliwym spojrzeniu, pełne życia i zadowolenia. Czoło było pokryte zmarszczkami. Szpakowate włosy dodawały "babci" powagi. Ubrana była w długą, wyblakłą, fałdowaną suknię, na nogach miała zniszczone, wyszarzałe pantofle. Pomimo biedy wyglądała schludnie i "po miejsku".

W każdą sobotę "babcia" przygotowywała się do niedzieli. Myła się od stóp do głowy. Przebierała się w czystą suknię i inne buty. Czesła swoje kędzierzawe włosy i nagle młodziła. Podziwiałam jej pogodny nastrój. Często nuciła różne ludowe piosenki. Czasami pomagałam jej wtórując moim cienkim sopranem. W którąś sobotę po krótkim odpoczynku usiadła przy stole, aby ze mną porozmawiać. Złęklam się: Kto wie, czy "babcia" nie żałuje, że zdecydowała się mnie przechować u siebie.

Było jednak inaczej, "babcia" zaczęła opowiadać historię swojego życia:

- Urodziłam się w Rosji w żydowskiej rodzinie. Kiedy byłam dzieckiem, rodziców zesłano na Sybir. Mnie oddano do prawosławnego zakonu, w którym zostałam ochrzczona. W zakonie było mi dobrze. Rosłam, uczyłam się i jednocześnie pracowałam. Czując się dorosłą, opuściłam zakon. Usamodzielniałam się. Przez pewien czas pracowałam w rodzinie pewnego wysokiego urzędnika. Z

nim przyjechałam do Polski.

Po wielu latach poznałam mężczyznę, za którego wyszłam za mąż. Był on wdowcem z dwiema córkami. Wychowałam te dziewczynki jak własne dzieci. Mąż był dobrym człowiekiem i kochającym ojcem. Pracowałam, aby dzieci były przyzwoicie ubrane, dbałam, by zawsze schludnie wyglądały. Kiedy dorosły, wyszły za mąż i opuściły dom. Spotkało mnie wielkie nieszczęście: młodsza córka umarła, a potem straciłam męża. Tak więc mam jedyną przybraną córkę i dwie wnuczki. Raz lub dwa razy w roku odwiedzają mnie. Czuję się bardzo samotna i opuszczona. Po mężu została mi ta chata. Jeszcze wciąż pracuję, aby zarobić na kawałek chleba.

Z zainteresowaniem i współczuciem przysłuchiwałam się jej opowieści.

Gęsta ciemność powoli przenikała do mieszkania. Ułożyłyśmy się do snu. Zwinęłam się w kłębek, w puchu było ciepło i wygodnie, odprężyłam się i wnet zasnęłam. W środku nocy obudziłam się. Zaczęłam rozmyślać o tym, co usłyszałam od “babci”, o jej żydowskim pochodzeniu. Ogarnęło mnie przygnębienie i niepokój. Przemocą zmuszałam siebie do niepoddawania się złym myślom. Chciałam wierzyć, że tutaj ominę czarną zmorę śmierci.

Rano, kręcąc się po pokoju bez celu, nie mając zajęcia, szukałam ukojenia. Podeszłam do okna, dookoła było pusto. Oparłam się o parapet. Nagle zerwał się wiatr. Hulał, wciskając się przez szpary naszej drewnianej chaty. Jego donośny gwizd i świst przykuł mnie do okna na kilka godzin. Wpatrywałam się w to hałaśliwe widowisko. Silny wiatr porywał z ziemi całe kupy zwiędłych liści i unosił je wysoko. Kurz i śmieci przewracały się w powietrzu wzlatując aż pod niebiosa. Ciemno-granatowe chmurki złączyły się w jedną groźną, zapowiadając burzę. Ciemność okryła chatę. Złota błyskawica przecięła niebo, pierwszy grzmot zadudnił, spadł ulewny deszcz.

Myślałam sobie: oby chata nasza zamieniła się w arkę Noego, popłynęła hen daleko i dobiła do jakiegoś lądu, gdzie wolno byłoby żyć Żydom. . . Przypomniałam sobie legendę o Mojżeszu, który przed śmiercią prosił Boga, aby mu pozwolił ujrzeć Ziemię Obiecaną.

Te mrzonki urwały się, kiedy burza i zawierucha oddaliły się od chaty. Zapadł zmierzch.”Babcia” wróciła z pracy. Godziny spędzone razem z nią zmniejszyły we mnie lęk i napięcie, dodawały otuchy i nadziei. Zdawało mi się, że odnalazłam bliską i szczerą osobę, która pragnie pomóc mi przetrwać.

Mijały tygodnie względnego spokoju. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Śnieg przykrył naszą chatę. Mroźne powietrze dokuczało tak, że czasami kostniałam z zimna. Zimowe obowiązki zmuszały “babcię” do jeszcze wcześniejszego wstawania. O świcie zrywała się z łóżka, wychodziła zamiatać zasypaną śniegiem ścieżkę, aby utorować sobie drogę do pracy. Przygotowywała dla mnie szczapy drewna, wiadro wody i kartofle na wieczorną zalewajkę.

Dzień w dzień “babcia” energicznie i skrupulatnie zajmowała się swoimi obowiązkami,

równocześnie dbała o mnie. Za to w niedzielę ja nie pozwalałam jej zajmować się domem. Rano wchodziłam do kuchenki i chętnie gospodarowałam.

W niedzielę przed Bożym Narodzeniem usłyszałam jakieś kroki zbliżające się od ścieżki do naszej chaty. Przeleżałam się. Chciałam się ukryć, gdzieś schować, gdy wtem usłyszałam głos “babci”:

- Elżbietko, chodź zobaczyc naszego gościa, twoja chrzestna matka przyszła!

Gdy zobaczyłam Janinę, podbiegłam do niej zdyszana i zawołałam:

- Nareszcie doczekałam się twoich odwiedzin!

Rozplakałam się, ale powoli łzy zmieniły się w radość.

Janina wyjęła ze swojej torby suknię i podając mi ją rzekła:

- To jest podarunek dla ciebie na Święta Bożego Narodzenia, uszyłam ją na twoją miarę.

Wzruszona, podziękowałam jej za niespodziewany prezent. Janina wręczyła także “babci” pieniądze za mój złoty łańcuszek, który sprzedała.

Janina i “babcia” rozmawiały ze sobą jak stare dobre znajome. Obie miały podobne charaktery. Dlatego ceniłam je jednakowo. Były mi bliskie. Kochałam je jak rodzinę.

Zbliżyła się pora obiadu. Podałam skromny posiłek, po wypiciu herbaty Janina zaczęła opowiadać:

- Ostatnio mam dużo pracy. Krystyna nie może mi wiele pomóc, prowadzi całe gospodarstwo. Jestem zmuszona zająć się drobnym handlem, aby móc utrzymać przybraną rodzinę. Nie brak mi kłopotów materialnych i zmartwień z powodu złego zachowania chłopców Krystyny. Nie chcą chodzić do szkoły ani uczyć się. Przy tym dokuczają mi. Brak im silnej ręki ojca.

Z bólem serca przysłuchiwałyśmy się Janinie.”Babcia” stroskana jej zmartwieniami i kłopotami pocieszała ją:

- Twoja energia i ciężka praca nie pójdą na marne. Będziesz jeszcze zbierać owoce twojego poświęcenia. W przyszłości, gdy chłopcy wyrosną na dojrzałych ludzi, będą cię szanować i opiekować się tobą.

Godziny spędzone z moimi opiekunkami szybko mijały. Szarość zmierzchu pokryła wybielone ściany, gdy Janina z uśmiechem na ustach żegnała się z nami, a “babcia” opatulona w ciepły szal i chustę odprowadziła ją do kolejki.

Kiedy zostałam sama, obudziła się we mnie ogromna tęsknota za rodzicami, za starszymi siostrami, ich dziećmi oraz za domem rodzinnym. Ciężko, bardzo ciężko było mi uwierzyć, że jestem bezdomną sierotą. Samotność rozdzierała mnie.

Drzwi się otworzyły, weszła “babcia”. Zastała mnie zadumaną, pogrążoną w smutku. Spojrzawszy mi w oczy wyczuła, że byłam w przygnębiającym nastroju. Przysiadła się do mnie i

zaczęła opowiadać o ostatnich wiadomościach wojennych, które usłyszała w pracy:

- Rosjanie zbliżają się do Warszawy. Wkrótce połączą się z Polakami i przepędzą Szwabów z naszej ziemi. Jeszcze trochę cierpliwości, a przeżyjemy wroga.

Chciałam wierzyć słowom "babci", lecz te wieści wydawały mi się nieprawdopodobne. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że barbarzyństwa wojny skończą się, a ja będę żyć.

Długie zimowe noce pozwalały mi odprężyć się. Powoli weszłam w atmosferę Świąt Bożego Narodzenia. Dwa dni przed Wigilią odwiedzili nas goście. Przybrana córka "babci" Danuta ze swoim przyjacielem przyszli złożyć jej życzenia. Przywitani się serdecznie. Przynieśli podarunek dla niej i postawili na stole butelkę wódki."Babcia" krzątała się koło nich przynosząc z kuchni wszystko, co miała, a ja starałam się dostosować do sytuacji i traktować ich jak rodzinę. Zaczęli wypytywać mnie o banalne szczegóły z mojego życia, opowiadałam śmiało, ale lakonicznie.

Rozmowa toczyła się wokół wojny. Wszyscy byli poważni, ale po wypiciu wódki rozgadali się. Danuta opowiadała dużo historyjek związanych z jej wyjazdami do miasteczek. Szmuglowała mięso i drób. Wojna zmusiła ją do tego rodzaju zarobku. Mówiła także o trickach, jakimi posługiwały się towarzyszkii podróży i ona sama. Znała dużo dowcipów. Po wypiciu butelki wesół para rozśpiewała się, a ich głosy rozlegały się poza chatą. Wreszcie pożegnali się z nami, zapowiedziawszy przyjście wnuczki Maryny na Wigilię i Świąta. Po ich odejściu zauważyłam, że "babcia" siedzi zatroskana, zapytałam ją o powód.

- Martwi mnie brak choinki, szczególnie, że na Wigilię będę mieć dwie wnuczki, Marynę i ciebie.

Właściwie "babcia" nie była religijna. Do kościoła nie chodziła. Pomimo to była bardzo przywiązana do tradycji i głęboko w niej tkwiła. Także mnie udzielił się ten świąteczny nastrój. Zabrałam się do intensywnego sprzątanía, żeby nadać mieszkaniu odświeżony wygląd. Dzień przed Wigilią "babcia" przyniosła wspaniały podarunek od swoich pracodawców. Były to produkty żywnościowe, z których przygotowała tradycyjną kolację.

Nazajutrz oczekiwaliśmy przyjścia Maryny. Co za radość ogarnęła "babcię" na widok wnuczki! Wylew uczuć, jakich dawno nie byłam świadkiem. Ja musiałam ciągle tłumić w sobie każdą serdeczność. Maryna uśmiechnięta, wesół wyjęła z koszyka dużą doniczkę i postawiła ją na stole. Była to miniatura choinki, ozdobiona różnymi świecidełkami.

"Babcia", wzruszona cudownym prezentem, nie żałowała wnuczce uścisków i pocałunków. Wzbudziło to we mnie chęć obdarowania "babci" podarunkiem. Zdjęłam pierścionek z palca - prezent od mojej Mamusi - i włożyłam jej na rękę."Babcia" zaskoczona tym upominkiem, wzruszyła się do łez. Popatrzyła na mnie i rzekła:

- Twój prezent będę nosić z dumą. Uważam, że będzie mnie ozdabiać do końca życia.

Sprawiłaś mi, Elżbieto, dużo, dużo radości. Zapłać ci, Boże!

Wieczorem, przebrane w nowe suknie, zasiadłyśmy do stołu. Dwie grube świece oświetliły mieszkanie. Babcia zajęła honorowe miejsce. My z Maryną usiadłyśmy po obu jej stronach. W pokoju było widno, ciepło i wesoło. Maryna przegoniła mróz, smutek i tęsknotę. Wigilię rozpoczęłyśmy od dzielenia się opłatkiem, potem posiliłyśmy się przygotowaną kolacją, wieczerzę zakończyłyśmy śpiewaniem kolęd. Maryna intonowała, “babcia” i ja wtórowałyśmy jej - “babcia” niskim altem, a ja sopranem.

“Babcia” wyczerpana emocjami położyła się spać. Maryna i ja zostałyśmy w kuchni, aż świece zaczęły gasnąć. Chciałam poznać Marynę bliżej, zaprzyjaźnić się z młodą dziewczyną, znaleźć koleżankę. Ona zaś pragnęła opowiadać o sobie, o rozczarowaniach życiowych. Miała męża, w którym była zakochana, ale szybko po ślubie zostawiła go i wróciła do domu. Razem z młodszą siostrą męczą się, aby zarobić na utrzymanie.

Bezgwiezdna noc zagnała nas do łóżka. Pokrzepione obfitą kolacją usnęłyśmy.

Następnego dnia nastrój był poważny. Maryna skarżyła się przed “babcią”, że matka opuściła dom i mieszka u przyjaciela. Obydwoje są pijakami, to, co matka zarabia handlem, ledwo starcza im na wódkę. O córki nie troszczy się, nie pomaga im w niczym.

“Babcia” ubolewała nad losem wnuczek:

- Twoja matka jest bez serca. Ja całe życie traktowałam ją jak własne dziecko, a ona odnosi się do swoich dzieci jak macocha.

Wieczorem “babcia” i Maryna przygotowały się do następnego dnia, jedna do pracy, a druga do powrotu na wieś. Marynie poprawił się humor. Znowu śmiała się, śpiewała i plotkowała na temat wiejskiego życia. Polubiłam ją. Nazajutrz przed pożegnaniem zaprosiła mnie do siebie na lato. Cieszyło mnie, że znalazłam koleżankę i będę mogła skorzystać z jej adresu. Odprowadziłam ją i “babcię” do skraju naszej ścieżki i wróciłam do chaty.

Stałam na ganku. Cisza i spokój dookoła. Nasza chata wyglądała jak usypana góra śniegu. Drzewa, które do niedawna były gołe, stały jak figury ubrane w białe płaszcze zbitego śniegu. Nasze okna były obłożone grubą warstwą lodu, na którym mróz wyrzeźbił esy-floresy. Szczypało w uszy, palce u nóg zeszywniały mi, szybko weszłam do domu.

Zdażyłam w ciągu Świąt oderwać się od bezustannego napięcia, lęku i złych myśli, podobnie jak żołnierz na froncie podczas przerwy w działaniach wojennych.

Odetchnęłam. Po krótkim czasie znów zabrakło mi cierpliwości. Samotność pożerała mnie na tym pustkowiu. Często czułam, że jestem niepotrzebna nikomu, wegetuję i żyję jak pasożyt. Tęsknota rozdzierała mnie. Wprawdzie bałam się ludzi, ale tęskniłam za nimi. Chciałam ich kochać i być kochaną. Zabronione było mi żyć. Nie mam prawa do istnienia. Jak wytrwać? - pytałam

siebie.

Zgorzkniała, oczekiwałam powrotów “babci” z pracy. Kiedy wchodziła do mieszkania, patrzyłyśmy sobie w oczy, a ona, zauważywszy moje przygnębienie, przysiadła się do mnie, głaskała mnie i obsypywała dobrymi wiadomościami z frontu: Rosjanie kroczą naprzód, zbliża się zwycięstwo nad niemieckimi barbarzyńcami. Nieraz łudziłam się, że te optymistyczne wiadomości mogą być prawdą, ale najczęściej uważałam, że “babcia” pragnęła mnie podnieść na duchu i wzmocnić psychicznie.

- Jeszcze trochę cierpliwości i wiary, a ominiemy czyhającą śmierć - mawiała.

Widziałam, że “babcia” jest niezwykłym człowiekiem. Dzieliła się ze mną każdym kęsem chleba. Dbała i przynosiła wszystko, co możliwe, żebym nie cierpiała z głodu i chłodu. Co najważniejsze, narażała siebie na wielkie niebezpieczeństwo, zabierając mnie do swojego domu. Była rozsądna, mądra, o głęboko zakorzenionych ludzkich uczuciach.

Zima złagodniała. Gęste góry śniegu rozsypały się, stopniały, myły dachy, drogi i rynsztoki. Na ścieżce, która prowadziła do naszej chaty, już nie było śladu ostrej zimy. Z okien zniknął lód, pozostawiając czyste przezroczyste szyby. W mieszkaniu zrobiło się widno i ciepło. Zrzuciłam z siebie zimowe ubranie. Także “babcia” przebrała się w lżejszą suknię. Czuliśmy, że wiosna zakwita.

Któregoś dnia “babcia” przypomniała mi, że wnet będziemy świętować Wielkanoc. Ucieszyłam się, chociażby dlatego, że odwiedzi nas rodzina męża “babci” i dom ożyje. Dzień przed Wielkanocą przysłała Danuta z Maryną i młodszą córką Stasią. Wnuczki włożyły “babci” na szyję dwa sznurki paciorków. To był prezent świąteczny. Uradowana “babcia” przyniosła z kuchni ciepły napój, a potem jadłyśmy obiad. Maryna i Stasia przylepiły się do mnie. Czas spędziłyśmy na opowiadaniu różnych historii z codziennego życia. Przy pożegnaniu rodzinka zaprosiła “babcię” i mnie na letnie wakacje. Głównie dziewczęta nalegały, żeby przyjechać na dłuższy pobyt i razem z nimi dzielić biedę. Pracy im nie brak, starczy także dla mnie.

Majowe deszcze syciły powietrze świeżymi aromatami, a ziemia pokryta zielonymi kobiercami cieszyła oczy. Z pobliskich drzew dochodziły śpiewy ptaków, które wiły sobie gniazda pod czystym błękitnym niebem.

Pewnego pogodnego dnia w końcu maja zapragnęłam podejść do okna w kuchni, wystawić twarz ku słońcu, gdy wtem zauważyłam stojącego z dala mężczyznę, zwróconego w naszą stronę. Obserwował chatę. Poczulałam mocne uderzenie serca i wymknęłam się z kuchni do pokoju, żeby nie być spostrzeżoną. Ogarnął mnie niepokój, który wzmagił się z chwili na chwilę. Myśli rozsadały mi głowę: Kto to może być? Kogo szuka i na kogo czeka? Czy to nie donosiciel, który czyha na mnie, żeby położyć kres mojemu życiu? A może też na “babcię”?

Co chwila odchylałam lekko kotarę, żeby jednym okiem sprawdzić, czy ten człowiek jeszcze czeka na tym samym miejscu. Po godzinie, kiedy zorientowałam się, że mężczyzna stoi uporczywie za drzewem, jakby nie chciał być widziany, moje przerażenie wzrosło. Walczyłam ze sobą, żeby nie wpaść w panikę. Po dwóch, trzech godzinach ogarnął mnie śmiertelny lęk. Zastanowiłam się: Czy zostać i czekać na “babcię”? A może lepiej uciekać przed jej powrotem, żeby nie narażać jej na niebezpieczeństwo?

Przerażona złapałam torbę z dokumentami, ubranie, podeszłam do okna i opuściłam się na ziemię. Zamknęłam z zewnątrz okiennicę i pewnym krokiem poszłam na wieś do Maryny, według planu, który mi w swoim czasie podała. Dobrze go zapamiętałam, więc szłam, jakbym znała drogę od dawna. W głowie myśli płątały się bezustannie: Czy zastanę Marynę w domu? A może jej matka wróciła? Gdzie będę nocować? Wiele, wiele podobnych pytań dręczyło mnie.

Zbliżając się do wsi, starałam się zachować spokój. Odetchnęłam, kiedy dotarłam do domu Maryny. Weszłam do mieszkania. Zaskoczone siostry szczerze się uradowały. Z serca spadł mi kamień.

Rozsiadłyśmy się w przestronnej kuchni. Głód mi dokuczał, ale na razie syciłam się widokiem dużego garnka stojącego na ogniu. Biła od niego gęsta para o zapachu grochówki, tak smakowitym, że aż mi ślina ciekła. Czekałam niecierpliwie na posiłek.

Nagle z bocznego pokoju wyszła młoda kobieta z dzieckiem. Zajęła miejsce przy stole tuż obok mnie. Zrobiła na mnie silne wrażenie. Przedstawiłam się jej. Miała na imię Halina. Pokrzepiłyśmy się zupą z czarnym chlebem. Głodne dziecko pani Haliny zaczęło marudzić. Żeby nie przeszkadzać, wróciła z nim do pokoju. Zostałyśmy we trójkę, gawędząc do późnego wieczora.

W kuchni przy ścianie stało szerokie łóżko. Po zapadnięciu nocy ułożyłyśmy się razem do snu. Było dość miejsca dla nas trzech. Byłam pewna, że tej nocy nic złego mnie nie spotka. Pragnęłam snu, ale Maryna zaczęła mi opowiadać o lokatorce Halinie. To mnie bardzo ciekawiło i słuchałam z uwagą:

- Ten duży pokój, w którym mieszka pani Halina, odnajmujemy każdego lata. Chłopczyk ma częściowy paraliż. Rodzice i dziadkowie bardzo cierpią z tego powodu. Już mieszkają u nas trzy tygodnie, mają być miesiąc.

Nazajutrz przy śniadaniu, kiedy Halina karmiła dziecko, przyglądałam się choremu Józiowi. Miałam ochotę wziąć go i uścisnąć. Wyciągnęłam do niego ręce, a maleńki przechylił do mnie główkę. Matka chętnie mi go podała. Dzieciak przylgnął do mnie.

Po południu siedziałyśmy na dworze, pani Halina zaczęła ze mną rozmawiać. Kiedy dowiedziała się, że pochodzę z Łodzi, zawołała radośnie:

- Ach, jaki to zbieg okoliczności! Łódź budzi we mnie najmiłsze wspomnienia. Pracowałam

przed wojną w Łodzi w klinice położniczej znanego lekarza żydowskiego doktora Ebina. Byłam kwalifikowaną pielęgniarką, lubianą przez chorych, przełożonych i kolegów. Po ślubie zamieszkaliśmy u moich rodziców w Warszawie. Choroba naszego dziecka załamała całą rodzinę. Ciężkie warunki utrudniają leczenie dziecka. Wyjechałam z nim z dusznej Warszawy, żeby mógł oddychać świeżym powietrzem na wsi.

Słowa Haliny nasuwały mi różne myśli. Nieszczęśliwe dziecko budziło we mnie współczucie i chęć zajęcia się nim. Półtoraroczny Józio coraz bardziej Ignął i tulił się do mnie. Zabierałam go często od matki, masowałam mu części ciała, którymi nie władał, nuciłam piosenki i zabawiałam go. Powoli smutne dziecko zaczęło się do mnie uśmiechać, a kiedy Halina to zauważyła, promieniała szczęściem. Pomoc, jaką jej okazałam, zbliżyła ją do mnie. W czasie naszych krótkich spacerów popołudniowych zainteresowała się moim losem.

Życie Maryny i Stasi regulował rytm pracy. Często rankiem, gdy słońce wychodziło z nocnej kryjówki, Maryna wystawiała na podwórku przed domem dość dużą balię, zakasywała rękawy i energicznie zabierała się do prania bielizny. Stasia sprzątała i gotowała obiad, a ja też znalazłam sobie pracę: cerowałam, reperowałam i łątałam zniszczone lub dziurawe ubrania. Siedząc podczas pracy na progu mieszkania, pod błękitnym niebem, wdychałam pełną piersią majowe powietrze. Łaknęłam go. Stopniowo powracał spokój. Napięcie nerwowe opuściło mnie. Po kilku dniach zżyłam się ze wszystkimi domownikami. Znalazłam u nich dużo zrozumienia dla mojej tragicznej sytuacji.

Z nas wszystkich najweselsza była Maryna. Lubiała się śmiać, opowiadać historyjki z życia wiejskiego, a szczególnie o przyjacielu swojej matki. Coraz to przerywała pracę opowiadając jakiś dowcip lub plotkę.

Któregoś dnia, pod koniec tygodnia, siedząc na powietrzu usłyszałam kroki zbliżającego się mężczyzny i głośno wypowiedziane: - Niech będzie pochwalony! - Podniosłam wzrok. Przestraszona, zobaczyłam przed sobą wiejskiego domokrażcę z uwieszoną na piersiach deską, na której leżały różne rzeczy do sprzedania: lusterka, grzebienie, nici, agrafki itp. Niski, z czarnymi włosami, a jeszcze czarniejszymi gęstymi wąsami, zakręconymi do góry, wyglądał jak brat Józefa Piłsudskiego. Umizgiwał się do Maryny, jakby dawno się znali. Prosił ją, aby wybrała coś z jego nowych artykułów. Przecież nie musi od razu zapłacić, ma do niej zaufanie.

Maryna weszła do mieszkania, aby przynieść kilka złotych na spłacenie poprzednio zaciągniętego długu. W tym momencie domokrażca przeszył mnie ostrym wzrokiem i nieoczekiwanie odezwał się:

- Jestem Żydem i widzę, kto ty jesteś. Wiedz, że znajdujesz się w niebezpieczeństwie. Znam matkę tych panienek, ona i jej kochanek są pijakami, mogą cię wydać. Ja wędruję z miejsca na

miejsce, od wsi do wsi - nie nocuję dwa razy pod tym samym dachem. Znam całą okolicę. Jeśli chcesz, przyłącz się do mnie. Zastanów się, za kilka dni tu będę, dasz mi odpowiedź.

Handlarz raptownie przerwał, bo Maryna wracała. Wręczyła mu kilka złotych. On zanotował to w swoim kajecie i zapowiedział następną wizytę. Odszedł.

Po tym ostrzeżeniu skóra mi ścierpła, różne myśli zaczęły przebiegać przez głowę. Dotychczasowa walka o życie nauczyła mnie unikać ludzi, ukrywać się przed nimi, a tu nagle mam wędrować z obcym człowiekiem po wsiach i chatach? Czy nie lepiej zostać z Maryną i Stasią? Nie, nie ruszę się stąd!

Po dwóch dniach, kiedy znów siedziałam przed domem, zauważyłam handlarza za płotem. Zrozumiałam, że czeka na moją odpowiedź. Szybko podeszłam do niego i powiedziałam krótko:

- Zostaję w tym domu, na razie czuję się tutaj pewna.

Pani Halina i mały Józio odrywali mnie od zbytnich rozmyślań i rozwiewali wszelkie wątpliwości. Krótko przed ich powrotem do Warszawy, na naszym ostatnim spacerze, kiedy weszliśmy na leśną polanę, Halina wzięła mnie pod rękę i po przyjacielsku powiedziała:

- Elu, uważam, że tu dalej zostać nie możesz. Ponieważ nie znasz wszystkich domowników, nie wiesz, jak dalece jesteś zagrożona. Chcę cię zabrać do Warszawy, gdzie postaram się znaleźć ci odpowiednią pracę. Jutro rano wyjeżdżamy, przygotuj się.

Thumiąc łzy wzruszenia, objęłam Halinę, w której widziałam wysłańca Bożego. W mojej wyobraźni pojawiła się Mama. Tylko ona mogła to wyprosić u Pana Boga. . .

Tego samego wieczoru powiedziałam o swojej decyzji Marynie i Stasi. Wytłumaczyłam, że postanowiłam pojechać z Haliną do Warszawy. Będę szukać pracy. Nie chcę być dla nich ciężarem w tak trudnych czasach, szczególnie teraz, kiedy ich matka wraca do domu. Zaskoczone, przyjęły moje słowa z żalem, ale ze zrozumieniem.

Nazajutrz nastrój był ponury, markotny. Pragnęłam już czym prędzej znaleźć się w Warszawie, jednocześnie szkoda mi było opuszczać dwie siostry, z którymi od pierwszej chwili zawarłam serdeczną znajomość. Przygnębiająca atmosfera została przerwana głośnym turkotem zajeżdżającej przed dom furmanki, którą Halina zamówiła dzień wcześniej.

Zerwałam się z krzesła i pochwyciłam Józia na rękę. Za mną szła Halina z walizą, a Maryna i Stasia odprowadziły nas do wozu. Serdecznie żegnałam się z siostrzyczkami. Wlazłam na wóz zajmując miejsce na drewnianym siedzeniu. Halina usiadła obok mnie.

Woźnica krzyknął głośno "wio", ruszyliśmy, a zgrzyt kół furmanki rozdzierał uszy. We mnie ucichł niepokój. Ciepłe spojrzenia Haliny dodawały otuchy i przestałam rozpamiętywać swą niedolę.

Rozdział szósty

Szczęśliwie dotarłam z Haliną i maleńkim Józiem do Warszawy. Po wejściu do mieszkania jej rodziców podbiegła do nas babcia chłopca, pochwyciła wnuka z moich rąk, całowała go i głaskała z bezgraniczną radością. Po chwili podała dziecko jego ojcu, który ścisnął swojego synka rozczulając się do łez. Z kolei wziął go dziadek, który na swój sposób wyraził zadowolenie. Ostatnia była Jadzia, siostra Haliny. Wyrwała Józia z rąk dziadka. Trzymała go mocno, pieściła, tuliła do siebie i coś mu opowiadała, co wywołało jego uśmieški pełne wdzięku. Cała rodzina skupiła się wokół nieszczęśliwego dziecka.

Wylewność uczuć tej rodziny wzruszyła mnie do głębi, o mało nie rozplakałam się. Mama Haliny, pani Elsa, objęła mnie, obdarzając ciepłym spojrzeniem.

Ucieszyłam się bardzo, że będę mieszkać razem z dzieckiem w ostatnim pokoiku. W ciągu dnia, kiedy zajmowałam się chłopcem, przebywaliśmy w innych pokojach. Do kuchni rzadko wchodziłam. Mieścił się w niej warsztat kamaszniczy męża Haliny. Ponieważ stale przychodzili klienci, a ja bałam się obcych ludzi, unikałam takich spotkań. Było mi dobrze przesiadywać z dzieckiem w pokojach, czułam się bezpieczniej. Pani domu z wielkim wysiłkiem zajmowała się gospodarstwem dbając, aby rodzina nie głodowała. Rozsądnie i z miłością kierowała wszystkimi sprawami życiowymi. Mądrością i siłą ducha podtrzymywała cierpiących rodziców Józia. Toteż panowała tutaj zgoda, spokój i poszanowanie.

Ojciec Haliny, człowiek leniwy, beztroski, ciągle głodny, stale kręcił się po kuchni, szukając jedzenia. Jednocześnie przeszkadzał zięciowi w pracy. Każdego klienta zaczepiał i opowiadał różne plotki.

Gdy do obiadu zasiadła cała rodzina, Halina zamykała główne drzwi na klucz i prosiła mnie z dzieckiem do stołu. Z Józiem na rękę siadałam obok Jadzi. Któregoś dnia podczas obiadu, gdy nie zdążyłam połknąć pierwszej łyżki zupy, dziadek nagle się odezwał:

- Ktoś tu śmierdzi cebulą! - i obrzuciwszy córkę złym spojrzeniem dodał: - My cierpimy niedostatek, a tu jeszcze dodatkowa obca osoba!

Rozumiałam jego gniew. Babcia z córkami i zięciem zachowali głuche milczenie. Kiedy wstałam z Józiem, aby wyjść do mego pokoju, starsza pani skrzyczała swojego męża:

- Stary głupcze, nie wiesz, że i mnie może spotkać smutny los!

Ten incydent przy obiedzie wywołał niepokój w rodzinie. Obawa, że dziadek wygada się przed klientami, co mogłoby spowodować nieszczęście, stała się poważnym problemem. Zapadła noc, dziecko już spało, kiedy matka Haliny weszła do mnie. Półgłosem powiedziała:

- Wiedz, że ja jestem volksdojczką i grozi mi zemsta ze strony Polaków. Nie wiadomo, jak

się skończy wojna i jak Polacy mnie potraktują. Ponieważ jesteś u nas narażona na niebezpieczeństwo, postaramy się urządzić cię w innej pracy. Jadzia jest wykwalifikowaną pielęgniarką i pracuje w żłobku przy niemowlętach. Ona wierzy, że uda się zatrudnić cię jako pomocnicę na jej oddziale. Jedyna trudność to uzyskanie zgody kierowniczek zakładu.

Po dwóch dniach Jadzia wróciła ze żłobka z wiadomością, że obie panie zarządzające przyjęły mnie do pracy. Przydzielono mi pokoik i całodzienne utrzymanie. - Będę miała dach nad głową i pracę, jakie to dla mnie szczęście - pomyślałam.

Rano obudził mnie Józio swoim dziecięcym szczebiotem, nakarmiłam go i przygotowałam się do odejścia. Smutno mi było opuszczać rodzinę Haliny. Przy pożegnaniu nie zapomniałam o dziadku, któremu przyrzekłam, że z moich przydziałów żywnościowych część przyślę dla niego. Wysłałam z Jadzią do pracy, a łzy dławily mnie w gardle.

Ulica Złota 73. W poprzecznej oficynie na pierwszym piętrze mieścił się żłobek dla niemowląt. Był to jeden z dwunastu zorganizowanych na terenie Warszawy przez polskie organizacje społeczne w celu niesienia pomocy ubogim i pracującym kobietom.

Wchodząc do żłobka, czułam drżenie serca, ale po poznaniu kierowniczek i krótkiej rozmowie z nimi opanowałam mój wewnętrzny niepokój. Jadzia zapoznała mnie z pomieszczeniami i personelem pracującym, dała mi biały fartuch i razem stanęłyśmy przy wejściowych drzwiach, zaczynając pracę od przyjmowania niemowląt. Po zapisaniu obecności każdego dziecka umieściłyśmy je w odpowiednim pokoju. Umyłyśmy je, nakarmiły i ułożyły do snu.

Podczas małej przerwy Jadzia zdążyła poinformować mnie o regulaminie w żłobku. Jej uwagi i wskazówki przyjmowałam chętnie. Z zapalem zabrałam się do swych obowiązków, żeby ulżyć Jadzi w jej ciężkiej pracy. Nie szczędziła mi komplementów, którymi dodawała mi otuchy.

Zajęcia kończyłyśmy zawsze o tej samej porze. Kiedy matki wracały z pracy, po drodze zabierały swoje dzieci do domu na noc. W żłobku zostawały obie kierowniczki i ja. Reszta personelu i Jadzia wracała do swoich rodzin. Wieczorami przesiadywałam sama w swoim pokoiku.

Któregoś wieczoru napisałam krótki liścik do mojej siostry Reni. Zawiadomiłam ją o moim nowym adresie i pracy. O wiele rzeczy pytać nie mogłam, musiałam się liczyć z ewentualnością przeczytania listu przez kogoś niepożądanego.

Niespodzianie otrzymałam szybką odpowiedź, siostra donosiła mi, że przyjeżdża z chorym synkiem do Warszawy. Prosi o zamówienie lekarza pediatry, człowieka zaufanego, bo dziecko jest obrzezane. Na końcu listu podała adres, pod którym się zatrzyma, dzień i godzinę. Stroskana zastanowiłam się, jak to wszystko urządzić, żeby nie narażać nas na nowe niebezpieczeństwo. Porozmawiałam z Jadzią. Przeczytała list siostry i szybko odpowiedziała:

- Znam kilku lekarzy specjalistów chorób dziecięcych. Bez obawy zaproszę któregoś z nich do żydowskiego dziecka. Podam adres i godzinę. Lekarz przyjdzie punktualnie. Nie zamartwiaj się niepotrzebnie. Ja także urządzę się w pracy sama. Ciebie dyskretnie zwolnię z obowiązków i dam sobie radę do twojego powrotu.

Dzielna Jadzia znalazła rozwiązanie mojej trudnej sytuacji.

Dzień przed przyjazdem siostry po pracy weszłam do żłobkowej kuchni, szukałam jakiegoś jedzenia dla siostrzeńca, żeby go czymkolwiek poczęstować. Znalazłam zasuszony owoc w kącie szafy, kawałek chleba i szczyptę cukru. To było wszystko, co mogłam zabrać.

Następnego dnia rano wykapałyśmy dzieci, nakarmiły i ułożyły do snu. Jadzia została z nimi, a ja wyszłam niepostrzeżenie.

Pośpiesznie przemierzałam ulice, kierując się w stronę Starego Miasta. Mieszkała tam wdowa z córką, u której moja siostra była umówiona z synkiem.

Lekko zapukałam do drzwi. Otworzyła mi Renia, obok niej stał Staś. Chciałyśmy paść sobie w ramiona, ale stłumiłyśmy nasze uczucia, aby nie wzbudzać podejrzania.

W napięciu oczekiwaliśmy lekarza. Właścicielka mieszkania usiadła w niedużej odległości od stołu i obserwowała nas. Nie odezwała się słowem. Spoglądała na nas złym okiem, jakby miała ochotę nas wyprosić. Na szczęście po chwili przyszedł lekarz. Wziął dziecko na ręce i położył na stole. Siostra podłożyła duży ręcznik, rozebrała Stasia, zostawiając go w majteczkach. Stała przy stole i zasłoniła sobą synka, żeby właścicielka nie mogła go zobaczyć. Ja stanęłam z drugiej strony stołu naprzeciwko siostry.

Lekarz, mężczyzna wysokiego wzrostu, w średnim wieku, miał wyraz twarzy łagodny i spokojny. Wyjął instrumenty do badania uszu, gardła i nosa, posłuchał płuc i serca, na końcu sięgnął do brzuszka. W momencie kiedy doktor chciał ściągnąć majteczki dziecku, serce mi podskoczyło z obawy przed właścicielką mieszkania. Instynktownie zatrzymałam dłoń lekarza mówiąc, że chłopiec jest wstydliwy. Zrozumiał mój odruch, popatrzył na siostrę, na mnie i powiedział, że dziecko jest już po kryzysie, na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia. Renia ucieszyła się z tej diagnozy. Odprowadziła lekarza do bramy i zapłaciła honorarium. Ja pilnowałam siostrzeńca, ubrałam go i zebrałam rzeczy. Siostra szybko wróciła, wzięła Stasia i żegnając się z właścicielką, wręczyła zapłatę za przysługę. Wyszliśmy. Dopiero w bramie odetchnęliśmy i Renia powiedziała:

- W Płyćwie już cała wieś gada o nas, że jesteśmy Żydami. Musimy opuścić tę miejscowość. W najbliższych dniach wyjeżdżam z dzieckiem do Cegłowa w pobliżu Siedlec. Jeśli Bóg pozwoli nam przeżyć piekło hitlerowskie, wtedy znajdziesz nas pod napisanym na tej kartce adresem.

Rozstałyśmy się bez słów, połykając łzy. Renia z synkiem śpieszyli na dworzec, a ja pędziłam do żłobka.

Zdyszana wpadłam do dzieci, które już spały po obiedzie. Jadzia czuwała nad nimi. Wyglądała na zmęczoną i smutną, więc zapytałam:

- Jaziuniu, ciężko ci było nakarmić wszystkie dzieci?

- Nie - odpowiedziała Jadzia - tylko zdenerwował mnie przykry incydent z kucharką. Nie chciała przynieść obiadu dla dzieci, bo uważała, że to ty masz zrobić. Tak ją przyzwyczaiłaś. Kiedy zauważyła twoją nieobecność, rozzłościła się i krzyknęła: - Co tutaj robi ta Żydówka? - Nie wytrzymałam, zwymyślałam ją i wyrzuciłam za drzwi.

Jadzia zamilkła, a ja poczułam silne bicie serca. Nie mogłam wydobyć słowa. Siedziałam z opuszczoną głową, z zaciśniętymi zębami i wyrazem bólu na twarzy. Upokorzona niczym trędowaty pies - pomyślałam.

Po kilku minutach uświadomiłam sobie, że Jadzia jest w rozterce. Żeby ją uspokoić, starałam się stłumić wewnętrzny chaos i usunąć z twarzy wszelkie ślady przygnębienia i niepokoju.

Płacz dzieci przypominał nam o naszych obowiązkach. Przeszliśmy do porządku nad tym, co było, i powróciliśmy do codziennych zajęć.

Jednak w pracy musiałam stykać się z kucharką, a ona ciągle dokuczała mi i szykanowała. Z tego powodu przeżywałam w żłobku ciężkie dni i tygodnie. Doszło do tego, że któregoś dnia zaczęła Jadzię przed wyjściem do domu, po skończonej pracy i powiedziała:

- Są wiadomości, że gestapo od jutra zacznie obławę na Żydów ukrywających się w naszej dzielnicy. Elżbieta ściągnie na nas nieszczęście. Trzeba ją wyrzucić!

- Zamknij pysk i wynoś się - odparła odważnie Jadzia i odwracając się od niej weszła do mojego pokoju.

Usiadłyśmy na łóżku. Opowiedziała mi o kolejnym incydencie z kucharką.

- Postanowiłam zabrać ciebie na noc do nas do domu. Pomówimy z mamą i Haliną o tym zajściu, bo one rozsądnie poradzą, jak postąpić w tej sytuacji: czy masz jutro pozostać u nas, czy wrócić do pracy? Spiesz się, zapada wieczór.

Wysłuchałam Jadzi i odpowiedziałam stanowczo:

- Jaziu, ja zostaję w żłobku, nie ruszę się stąd. Nie chcę was narażać na ewentualne przykrości.

Ponieważ zbliżała się godzina policyjna, zmusiłam Jadzię, aby poszła do domu i przestała nalegać.

Na drugi dzień praca szła normalnie, ale każdy szept lub pukanie do drzwi niepokoili mnie. Czułam się jak w kleszczach, reagowałam na najmniejszy szmer i ciągle odwracałam głowę w

stronę drzwi, myślałam, że lada chwila wejdą gestapowcy. Kiedy zapadł wieczór, uspokoiłam się. Po jakimś czasie nabrałam odwagi i zaczęłam odprowadzać Jadzię do domu ulicą Żłotą.

W ostatnich dniach lipca ruch i gwar na naszej ulicy zwiększył się. Rojno było od ludzi, przeważnie młodych. Podobnie wyglądało nasze podwórze, lokatorzy z obydwu oficyn stali zebrani w grupki, prowadzili gorączkowe rozmowy. Kobiety rozmawiały cicho, półgłosem.

Obserwowałam sąsiadów, ich ruchy i zdenerwowanie. Ogarnęło mnie uczucie przygnębienia. Myśli rodziły się jak grzyby po deszczu. Czasem czarne, czasem jaśniejsze, ale najczęściej beznadziejne. Najbardziej zaczęła mnie martwić niska frekwencja dzieci w żłobku. Myślałam, że jakaś epidemia chorób dziecięcych panuje w mieście. Także personel zatrudniony w naszym zakładzie zmniejszył się. Nawet kucharki nie było widać. Szczególnie dotknęła mnie nieobecność Jadzi. Bez uprzedzenia zniknęła mi z oczu.

Sytuacja jest katastrofalna - pomyślałam. Czyżby Niemcy zamierzali zlikwidować Polaków, podobnie jak Żydów. Z rozmyślań wyrwało mnie uderzenie w drzwi mojego pokoju. W tej samej chwili drzwi rozwarły się na oścież, a w nich stanęła jedna z pań kierowniczek i z entuzjazmem zawołała:

- Elżbieto, nasi chłopcy podnieśli broń przeciwko Niemcom. Nareszcie przegonimy okupanta!

Pierwszy sierpnia 1944. Wczesny ruch na podwórzu przyciągnął mnie do okna. Z trwogą nasłuchiwałam. Naprzeciwko mojego pokoju w opustoszałym mieszkaniu widziałam grupę młodych mężczyzn. Z ulicy przybywali następni, uzbrojeni w karabiny, i spieszyli na pierwsze piętro frontowej oficyny. Wszyscy zachowywali się nerwowo, byli podnieceni, rozmawiali głośno i szybko biegali - jedni w górę, drudzy w dół. Cała sytuacja wyglądała zagadkowo.

Tego dnia o godzinie piątej po południu Armia Krajowa podniosła broń przeciwko niemieckiemu okupantowi.

Już po chwili słychać było silną strzelaninę. Odgłosy wybuchów granatów wywołały panikę i zamieszanie wśród mieszkańców. Lokatorzy domu - z obydwu oficyn - biegali przestraszeni, jedni z tłumokami do piwnicy, drudzy do mieszkań. Niektóre kobiety z torbami, a inne bez niczego trzymały ręce założone na głowie, żeby ustrzec się kuli. Powstał tłok i tumult, który przypominał łapankę w getcie.

Z rozmowy z kierowniczką żłobka dowiedziałam się, że we frontowej oficynie, naprzeciw mojego okna, mieści się jednostka AK. To niepokoiło lokatorów, ale podane przez powstańców wiadomości o ich sukcesach i zdobywaniu ulic napawały wszystkich dumą i pewnością zwycięstwa.

Nastrój się zmienił, kiedy Niemcy zaczęli bombardować stolicę. Powstańcy nawoływali

ludność cywilną do pozostania w piwnicach i bunkrach.

Od rzucanych bomb i pocisków trzęsły się mury. Trafione domy paliły się i waliły zabierając setki ofiar w ludziach. W schronach i na ulicach była nieprzeliczona ilość rannych. Wróg bez przeszkód palił i niszczył Warszawę. Po każdym nalocie spalone domy wyglądały jak szkielety, a ich resztki tliły się, zamieniając ulice w zgliszcza. Kłęby dymu i kurzu wisiały w powietrzu, zakrywając błękitne niebo.

Między jednym a drugim nalotem lokatorzy wychodzili na podwórze, żeby odetchnąć. Prowadzili głośne rozmowy. Byli wśród nich optymiści i pesymiści, zdania były podzielone.

Przybita i samotna, uporczywie siedziałam w swoim pokoiku. Postanowiłam z pewnych przyczyn nie schodzić do schronu. Wolałam przyglądać się wszystkiemu, co się dzieje wokoło. Najbardziej interesowało mnie, w jakim nastroju są powstańcy.

Któregoś dnia zauważyłam, że wśród uzbrojonych Polaków z jednostki AK kręcą się dwaj Żydzi. Raz po raz podchodzili do okna. Ich semicki wygląd i nerwowe rozglądanie się zdopingowało mnie do poznania ich i udzielenia ewentualnej pomocy. Zaryzykowałam. . . i pobiegłam na górę. Podeszłam do nich. Wyglądali na przestraszonych. Ich anemiczne twarze świadczyły, że dawno nie byli na powietrzu. Pragnęłam im pomóc. Spytałam, jakie mają zadanie w tej jednostce. Na to jeden z nich odpowiedział:

- Trudno tutaj o tym mówić.

Zrozumiałam, o co chodzi, i wskazując ręką na okno mojego pokoju powiedziałam:

- Jutro rano przyjdźcie do mnie. Będę na was czekać przy wejściu.

Wychodząc od nich przypomniałam sobie, że na parterze znajduje się wspólna kuchnia, którą zorganizowali lokatorzy. Weszłam. Na piecu stał duży kocioł wrzącej wody, tuż obok zaparzona herbata i cukier. Zdjęłam z tacy dwa czyste garnuszki, żeby napęłnić je. Zaledwie zdążyłam sięgnąć ręką do kotła, gdy nagle jakaś kobieta odtrąciła mnie z krzykiem:

- Stop, nie ma herbaty!

Odepchnęłam jej rękę i nie zważając na nic nalałam herbatę, osłodziłam ją i zaniiosłam współziomkom. Przypomniałam im, że pomówimy swobodnie o wszystkim u mnie w żłobku.

Nazajutrz po zameldowaniu się w jednostce AK obaj Żydzi przyszli do mnie. Byli to Becalel Perechodnik i Natan Buchalter, dwaj koledzy z Otwocka. Perechodnik zaczął opowiadać.

- Podczas ostatniej akcji wywożenia resztek Żydów z Otwocka esesmani wyciągnęli nas i nasze rodziny z kryjówek i gnali do wagonów. Starych i chorych, kobiety i dzieci, wszystkich wpychali do pociągu towarowego. To było istne piekło. Pochwyciłem mamę i udało mi się z nią uciec.

Becalel ucichł, zalał się łzami, a Natan kontynuował jego opowieść:

- Tę samą gehennę i ja przeżyłem. Od tego czasu ukrywamy się u Polaków na ulicy Pańskiej. Właściciel jest kolejjarzem. Jego żona opiekuje się nami. Oprócz nas trojga jest jeszcze dziewczynka, Żydówka z Nasielska. W ciągu długich miesięcy w dzień przesiadujemy za ścianą zastawioną szafą. Gospodarzom jest ciężko, ponieważ mieszkanie jest małe. Staramy się ich wynagrodzić.

W dniu wybuchu powstania byliśmy sami. Gospodyni akurat była poza domem. Nagle dom się zachwiało. Silny trzask uderzył w ściany niczym trzęsienie ziemi. Zdawało się, że mury popękały i dom się zawalił. Matka zemdląła. Chcieliśmy wybiec na ulicę, ale obawialiśmy się ludzi: zdradzimy się naszym wyglądem i ściągniemy nieszczęście na właściciela mieszkania. Wreszcie wróciła zadyszana gospodyni, uspokoiła nas mówiąc, że to wybuchło powstanie.

- Dość cierpień i przelewu krwi, wnet skończą się wasze i nasze męki! - wołała radośnie. - Przegonimy wspólnego wroga!

Ta wieść podniosła nas na duchu. Za namową matki Becalela wyszliśmy na ulicę rozejrzeć się, rozpoznać panującą atmosferę. Od razu zauważyliśmy grupy młodych mężczyzn spieszących w kierunku ulicy Żłotej. Nie namyślając się długo, poszliśmy ich śladem. W ten sposób dotarliśmy do tego domu, gdzie dowiedzieliśmy się, że tutaj mieści się jednostka AK. Śmiało weszliśmy pytając o komendanta. Młoda kobieta poinformowała nas, że wszyscy obecni czekają na niego i że niedługo ma przyjść. Doczekaliśmy się jego przybycia. Komendant udzielił obecnym - każdemu z osobna - odpowiedzi. Gdy stanęliśmy przed nim, od razu poznał w nas Żydów.

Poprosiliśmy o przyjęcie nas na ochotników do szeregów AK. Liczyliśmy na pozytywną odpowiedź. Ale. . . wysłuchał nas i odszedł. Rozczarowani, wróciliśmy do mamy. Opowiedzieliśmy jej o naszym spotkaniu z komendantem i o tym, co nas najbardziej bolało, że zlekceważył nas zostawiając bez odpowiedzi. Mama Becalela wysłuchawszy nas zażądała, abyśmy nadal uparczywie chodzili tam i domagali się przydzielenia do szeregu walczących ochotników. Nadszedł moment, kiedy Polacy powinni umożliwić Żydom walkę przy ich boku ze wspólnym wrogiem. Od owego dnia przychodzimy tu codziennie, licząc na to, że w końcu dostaniemy broń do rąk.

I jeszcze jeden problem, który wyłonił się w wyniku nowej sytuacji: Gospodyni, u której się ukrywamy, uważa, że możemy swobodnie poruszać się pośród Polaków. Czy nie ryzykujemy życia wychodząc codziennie z domu? Czy stosunek Polaków do Żydów zmienił się i okazują więcej zrozumienia dla naszej tragedii? Jak ty się zapatrujesz na nasze postępowanie? - spytał mnie Natan Buchalter.

Słuchając dwóch rodaków pomyślałam, że i ja znajduję się w nie mniej niebezpiecznej sytuacji i że także nie wiem, co począć. Konkretnej odpowiedzi dla nich nie miałam. Mogłam

powiedzieć tylko tyle:

- Ja także jestem narażona i żyję w ustawicznej walce ze śmiercią. Trudno mi wam radzić. Uważam, że matka Becalela czuje i wie najlepiej, jakie powinniście podejmować decyzje. Jej doświadczenie i intuicja pomogą wam.

Zaledwie skończyliśmy bolesną rozmowę, zaczęło się silne bombardowanie. Chciałam zostać w moim pokoju, ale chłopcy zmusili mnie do zejścia z nimi do schronu. Piwnica była przepelniona. Jednak udało się nam przedostać na sam koniec, gdzie było małe okienko, z którego było widać podwórze. Każdy z lokatorów wołał być blisko drzwi, żeby móc w razie czego wydostać się na zewnątrz. Przesiedzieliśmy cały dzień w schronie. Dopiero o zmierzchu zostało przerwane bombardowanie, wówczas wyszliśmy z ciemnego i dusznego lochu. Natan i Becalel spiechli na Pańską do domu, gdzie ich czekała matka, ja zaś - do mojego pokoiku, gdzie czułam się najbezpieczniej.

Nazajutrz, po całodziennym przesiadywaniu w schronie, dowiedziałam się od Natana, że Becalel jest bardzo chory. To nas zmartwiło. Pomyślałam, że trzeba poradzić się lekarza. Właściwie najlepiej byłoby szukać go wśród lokatorów. Ale obawiałam się o tym mówić z ludźmi z naszej kamienicy, bo mogli roznieść pogłoskę, że wśród naszej trójki znajduje się chory Żyd. A to mogłoby spowodować wydalenie nas z bunkra. Musiałam zachować ostrożność.

Po kilku dniach, po silnym nalocie, kiedy siedzieliśmy w modlitewnym skupieniu, zjawił się w schronie obcy człowiek. Przemierzył piwnicę wzdłuż i wszerz i przysiadł się do nas. Przyciszonym głosem mówił:

- Drodzy, nie lękajcie się, jestem Żydem - uciekinierem z Trebinki. Szukam braci, żeby im pomóc. W czym mogę wam ulżyć?

Skóra mi ścierpła. Nie wierzyłam własnym oczom, że jest to możliwe, aby z obozu śmierci wrócić żywym, wiedziałam bowiem, że każdy transport Żydów z getta warszawskiego Niemcy gnali do komór gazowych Trebinki.

W odpowiedzi na pytania uciekiniera i jego chęć niesienia nam pomocy wskazałam na Perechodnika.

- On jest chory i prosi, aby poszukać mu lekarza. Czy pan zna kogoś?

Odpowiedź uciekiniera była krótka:

- Jutro przed południem odwiedzę was, czekajcie w tym samym miejscu.

Nie oglądając się za siebie wyszedł.

Uciekinier z Trebinki wyglądał jak zmartwychwstały. Wysoki, twarz blada, bezkrwista, chudy, jakby przybył z innej planety. Głowa nieco wpadnięta w ramiona, pokryta rzadkimi blond włosami, spod których przeświecała mała łysina, czoło porane drobnymi zmarszczkami, oczy

niebieskozielone, wyblakłe, zamglone, bez życia. Na kościstej twarzy widniały przeżyte cierpienia. Pozostawił wrażenie bożego posłańca. Po jego wyjściu iskry nadziei rozpały się na nowo w naszych sercach.

Następnego dnia rano przyszedł. Prawie bez wymiany słów dyskretnie spojrział na chorego, wkładając mu do ręki karteczkę z adresem lekarza. Przed odejściem powiedział, że chory dziś może się zgłosić do niego. Dodał, że prawdopodobnie odwiedzi nas jutro. Pospiesznie opuścił piwnicę.

Tego samego dnia przed wieczorem, nie zważając na ciągłe bombardowania, wyszłam z Perechodnikiem do lekarza. Oboje przekradaliśmy się przez gruzy i pagórki spalonych domów. Z drżeniem w sercu dotarliśmy do bramy na ulicy Złotej, w której stał młody człowiek w białym fartuchu. Przyjął nas w pokoju - niegdyś mieszkaniu dozorczy - na parterze. Zbadał pacjenta i stwierdził, że choroba nie jest zakaźna, lecz jest wynikiem ciągłego napięcia nerwowego. Zapisał lekarstwa i poprosił, żeby w razie potrzeby chory jeszcze raz zwrócił się do niego.

Zaledwie zdążyliśmy wyjść z bramy i przebiec kilka metrów wzdłuż ulicy, gdy ogłuszyło nas silne bombardowanie. Liczna eskadra samolotów leciała nad naszymi głowami. Straciliśmy równowagę, zabrakło nam tchu, nie mogliśmy iść dalej. Po minutach wytchnienia znów posuwaliśmy się naprzód, trzymając się murów opustoszałych domów. Zbliżyliśmy się do naszej oficyny. W bramie czekał na nas Buchalter. Kiedy atak lotniczy oddalił się i wszystko ucichło, Becalel ze swoim kolegą szybko wrócili do matki na Pańską.

Ciężka przeprawa tego dnia zwała mnie z nóg. Ułożyłam się wcześniej do łóżka i zapadłam w twardy sen. O północy przebudził mnie głośny warkot samolotów. Przelękniona stanęłam przy oknie. Blisko krążył w powietrzu silnie iluminowany samolot w kształcie trójkątnego żyrandola, przesuwał się w przestrzeni coraz dalej. Po chwili ukazała się na tle czarnego nieba długa eskadra samolotów tego samego typu, która rozeszła się w kilku kierunkach. Jakby na umówiony znak rozległ się odgłos spadających na ziemię ciężarów. Byłam pewna, że to nocne bombardowanie. Przeżona chciałam w tym momencie uciec z pokoju, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Znieruchomiałam. Po chwili kiedy eskadra świecących samolotów - niby meteorów - wróciła z lekkim szumem i szybko znikła za horyzontem, odetchnęłam. Ten piękny obraz wywołał dużo strachu, ale pozostał po dziś dzień w mojej pamięci. Owej nocy nie spałam do rana, rozmyślając o nowym niebezpieczeństwie.

Nazajutrz znów schowaliśmy się w bunkrze. Czekaliśmy na uciekiniera, który przyrzekł nam pomoc. Przyszedł. Spokojnym krokiem podszedł do nas. Perechodnik miał przygotowane recepty, które niepostrzeżenie włożył do ręki posłańca. Tym razem poprosiłam go, aby przyniósł lekarstwa do mnie do żłobka, żeby nie wzbudzać podejrzeń u lokatorów. Zapewnił nas, że jutro się

zobaczymy.

Następnego dnia wcześniej rano Becalel i Natan, po zameldowaniu się w jednostce, przyszli do mnie. Razem wyczekiwaliśmy uciekiniera. Przyszedł. Zamknęłam drzwi, a wtedy nasz posłaniec boży postawił trzy lekarstwa dla chorego, które zdobył w tajemniczy sposób.

Było nas czworo Żydów. Przysłuchiwaliśmy się z wielką uwagą jego słowom, głównie opowiadaniu o wydarzeniach na froncie. Dowiedzieliśmy się także od niego o samolotach, które ostatniej nocy krążyły nad Warszawą.

Emigracyjny rząd polski w Londynie podjął akcję zaopatrzenia powstańców i ludności cywilnej Warszawy w żywność i broń, aby wzmocnić ducha walczącej stolicy. Była to pomoc powietrzna, samoloty miały worki z żywnością, które zostały zrzucone w różnych dzielnicach miasta. Wielu ludzi opowiadało, że znaczna część produktów wpadła w ręce niemieckie.

Przed odejściem uciekinier z Treblinki zwrócił się do nas i rzekł:

- Sytuacja jest poważna i groźna. Trzymajcie się jak bracia, pozostała nas znikoma garstka. W nadziei, że. . . spotkamy się po wojnie, żegnam was, kochani. Spieszę do moich i do waszych "Amcho", Żydów!

Odprowadziliśmy go do bramy. W okamgnieniu znikł. Czuliśmy, że tracimy grunt pod nogami. Trudno było pogodzić się z myślą, że go nigdy więcej nie ujrzymy.

Wracając zobaczyliśmy, że na podwórku rozsiane były ulotki, w których Niemcy nawoływali ludność Warszawy do opuszczenia miasta. Pesymizm i rezygnacja ogarniały wszystkich mieszkańców. Polacy przeżywali tragedię. Wszak niełatwo było zostawić dom, mienie i wziąć kij tułaczy do ręki. Były rodziny, które chętnie opuszczały stolicę, byle oddalić się legalnie od warszawskiego piekła. Inni postanowili na razie nie ruszać się z miejsca.

Nastaly znów dni pełne grozy. Grunt usuwał mi się spod nóg. Jak uniknąć nowego niebezpieczeństwa - pytałam siebie. Zastanawiałam się, czy opuścić Warszawę i nadal uchodzić za Polkę, a jeśli tak, to do kogo i dokąd iść? Po długiej walce wewnętrznej postanowiłam uzależnić moją decyzję od postępowania rodziny Perechodnika. Wiedziałam, że Becalel i Natan liczą się ze zdaniem mamy. Tym razem wolałam przyłączyć się do nich. Ale mimo to ciągle biłam się z myślami: wyjść czy nie wyjść ze stolicy?

Nieoczekiwanie przyszedł do mnie Becalel Perechodnik. Trzymał pod pachą dwa bruliony. Przybitym i zrezygnowanym głosem powiedział:

- Kiedy mama dowiedziała się o konieczności opuszczenia Warszawy, doznała szoku. Przez całą noc szlochała. Długo zastanawiała się, czy my o wybitnie semickim wyglądzie możemy uchować się wśród Polaków mieszkających poza Warszawą? ostatecznie postanowiliśmy razem pozostać w bunkrze pod zgliszczami. Bowiem nie ma innego wyjścia dla nas Żydów.

Westchnął ciężko i nadal mówił:

- Intensywnie szukamy bunkra pod gruzami spalonych domów, który pomieści kilkadziesiąt osób. Żywność i wodę na okres trzech miesięcy dostarczą nam Polacy. Jeśli nikt nas nie zdradzi, mamy szansę przeżyć.

Becalel wybuchł płaczem. Długo trwało, nim zahamował łzy spływające po twarzy. Wreszcie opanował się i zwrócił się do mnie z prośbą:

- Przyniosłem dwa pamiętniki, w których opisałem swoją tragedię od wybuchu wojny w 1939 roku do powstania, barbarzyństwa hitlerowskie, akcje "wysiedlenia", represje i znęcanie się nad ofiarami, sadyzm podczas gniań Żydów do komór gazowych. Pisałem także o okrucieństwach wobec dzieci i kobiet. Pisałem o tym wszystkim, czego byłem naocznym świadkiem. Cierpię w dzień i w nocy. Nigdy więcej nie doznam spokoju.

Perechodnik wyjął spod pachy obydwie bruliony-pamiętniki, dał mi je do ręki i znów łzy ukazały się w jego oczach. Zamilkł. Po przerwie pewnej westchnień zaczął na nowo mówić:

- Mam starszego brata, który uciekł z żoną i dzieckiem do Rosji. Tam mają szansę przeżyć. Po wojnie na pewno wrócą do Polski. Wierzę, że ty pozostaniesz wśród polskiej ludności. Proszę cię, zapamiętaj, że jedynym ostatnim moim życzeniem i prośbą jest, aby odnaleźć mojego brata i oddać mu do rąk te dwa pamiętniki, które nie atramentem, ale własną krwią zapisałem!

Becalel załamał się. Mnie jakby język przylgnął do podniebienia. Przelykałam łzy, a serce mi się krajało.

Wieczorem przy świeczce zaczęłam czytać pierwszy pamiętnik. Charakter pisma był wyraźny i czytelny. Treść to osobisty dramat. Wylew bólu i cierpienia, jakie Perechodnik nosił w sobie. Podziwiałam autora, który siedział za szafą, w ciasnym kącie i mógł się skoncentrować, żeby zapisać swoje tragiczne przeżycia w czasie ich trwania. Po przeczytaniu niewielu stron zaczęły mnie dławić łzy, musiałam przerwać. Zamknęłam pamiętniki. Położyłam oba bruliony na stoliku, żeby mieć je pod ręką w razie bombardowania lub ucieczki.

Powstanie zbliżało się już ku końcowi. Zmasowane naloty przesunęły się nad centrum miasta, do którego należała nasza dzielnica, a w niej ulica Żłota i do niej przyległe. Wszyscy tutaj żyli pod znakiem śmierci. Niezliczoną ilość razy Niemcy atakowali nasz dom. Złapałam więc pamiętniki i zbiegłam do piwnicy. Na podwórzu warkot samolotów nie pozwolił podnieść głowy. Zdawało się, że ostrzeliwują mnie. Świsł kul spadających wokoło wywołał tak silne przerażenie, że pamiętniki, które mocno przyciskałam do piersi, o mało nie wypadły mi z rąk. W piwnicy z ledwością przedostałam się do okienka, przy którym siedzieli moi koledzy. Przestraszeni, prawie nie zauważyli mnie. Kiedy Perechodnik spostrzegł mnie trzymającą pamiętniki, iskra szczęścia zabłysła na jego twarzy.

Niesamowita cisza trzymała nas wszystkich w modlitewnym skupieniu. Śmierć czaiła się wokół, a warkot samolotów stał się coraz silniejszy i bliższy. Światło zgasło, oficyna wraz z piwnicą zakołysały się. Rozległ się huk i poczuliśmy ogłuszające uderzenie, jakby dom się zawalił. Drzwi piwnicy zatrzasnęły się. Spadła bomba! Krzyk, że jesteśmy zasypani, wyrwał się komuś z ust. Pociemniało mi w oczach, brak powietrza odebrał mowę. Nie wiadomo było, kto z nas żyje, a kto jest ranny. Po minutach grobowej ciszy kilku mężczyzn usiłowało otworzyć drzwi, ale nadaremnie. Na szczęście sanitariusze, których zadaniem było szukać rannych po domach i ulicach, odkryli naszą piwnicę. Udało im się wyrwać drzwi. Powstał wówczas zamęt i harmider. Dzieci płacząc wołały: - Wody, wody! Matki z niemowlętami rwały się do wyjścia. Mnie było najtrudniej wydostać się na podwórze, gdyż siedziałam na samym końcu. Becalel i Natan prawie zemdleli z braku powietrza i wody, ponieważ instalacja została uszkodzona i nie było czym zwilżyć ust. Musieliśmy łykać powietrze pełne kurzu i pyłu. Nasi lokatorzy zaczęli biegać z naczyniami w poszukiwaniu wody. Bez namysłu pospieszyłam za sąsiadami z czajnikiem w rękę. Okazało się, że w pobliżu znaleziono pękniętą rurę, z której czerpano wodę. Stałam w długiej, bardzo długiej kolejce. Wszyscy spragnieni czekali cierpliwie na swój przydział. Tymczasem nadleciały niemieckie samoloty, które opuszczając się nisko - prawie nad naszymi głowami - strzelały z karabinów maszynowych. Tuż obok mnie padli ranni. Wołania o pomoc rozległy się wokoło, ale nikt z żyjących nie opuścił swojego miejsca, bo pragnienie było silniejsze. Wreszcie doczekałam się czystej wody. Z napełnionym czajnikiem wróciłam do naszej bramy, gdzie czekali na mnie Natan i Becalel. Kiedy się napili, otrzeźwieni pospieszyli do matki na Pańską. Wysłałam z nimi, żeby popatrzeć na Złotą. Przed domem stało mnóstwo ludzi. Wszyscy wpatrzeni w jezdnię. Z ciekawości wepchnęłam się między nich. W samym środku jezdni, akurat przed naszym domem zobaczyłam szeroki i głęboki dół, a w nim leżącą półtonową bombę, która na szczęście nie eksplodowała. Lokatorzy później mówili, że Niemcy rzucili tę ciężką bombę na jednostkę AK, która mieściła się w naszym domu na pierwszym piętrze.

Po tych ciężkich przeżyciach wróciłam do żłobka, ale nie chciało mi się zostać w moim pokoiku. Z tęsknoty za dziećmi, z którymi bawiłam się w dużej sali, weszłam tam i stanęłam przy oknie, z którego widać było dość rozległy pusty teren, zarośnięty chwastami. Między wysoką zielenią leżały resztki zburzonych ścian. Stałam w zadumie i ważyłam decyzję: iść czy nie iść, opuścić Warszawę czy zostać. . . Wtem podeszła do mnie kierowniczką zakładu. Stroskana i przybita wiadomościami, zaczęła opowiadać o swojej bezradności wobec trudnej sytuacji, w której ona i jej przyjaciółka się znajdują. Obie panie nie mają rodziny. Są w starszym wieku i bez środków materialnych. Nie mają dachu nad głową ani dokąd iść. Ból tchnął z jej słów, ale w mojej sytuacji nie mogłam im pomóc. Obydwie westchnęłyśmy - O Jezu! - i rozmowa urwała się.

Nagle spostrzegłam, że spomiędzy chwastów wyszli dwaj mężczyźni. Wyprostowali się. Ich twarze były pokryte gęstym zarostem, oczy wybałuszone z lęku, włosy rozczochrane. Poprawili sobie wygniecione i zabłocone spodnie. Z ich wyglądu i niepewności ruchów łatwo było wywnioskować, że są to Żydzi, którzy dopiero co wyszli z kryjówek. Instynktownie zastukałam w szybę, żeby ich zatrzymać na chwilę. W tym momencie kierowniczką żłobka krzyknęła:

- To są Żydzi, trzeba ich złapać i oddać w ręce policji!

Nie odpowiedziałam i pędem zbiegłam do nich. Już ich nie było. . . Znikli mi z oczu. Wróciłam do pokoju. Długo siedziałam na łóżku, a myśli drążyły mózg. Jak to możliwe, że kierowniczką żłobka podczas palenia Warszawy potrafiła się okazać zaciętym wrogiem Żydów!

Upadek powstania i kapitulacja były już faktem. Komunikaty nawoływały mieszkańców do opuszczenia stolicy do dnia 2 października 1944 roku. Rozkaz niemiecki wywołał ogólną depresję. Polacy poczuli się upokorzeni. Ze spuszczonej oczami tłumili szloch i wewnętrzny opór. Wbrew woli i z goryczą ciągnęła ludność wzdłuż ulic Warszawy na dworzec.

Około 30 września przyszli do mnie Natan i Becalel, a wraz z nimi dziewczynka, Genia Gutman, która ukrywała się w tym samym mieszkaniu. Perechodnik przedstawił ją i rzekł:

- Postanowiliśmy pozostać w Warszawie. Przy pomocy dziesiątków osób został przygotowany schron pod gruzami domu. Polacy dostarczyli żywności i wody na okres trzech miesięcy. Mama jest rada, że wybraliśmy tę drogę. Wierzymy, że przeżyjemy, jeśli nikt nas nie zdradzi. Pozostał nam jeszcze kłopot z Genią, z którą jestem zaprzyjaźniony. Ona jest skłonna ratować się po aryjskiej stronie, ale brak jej odwagi, dotychczas siedziała w ukryciu. Prosimy, abyś zaopiekowała się nią. Może będziecie mogli wspólnie dzielić los. Oby szczęście wam sprzyjało. . .

Zapanowała cisza. Perechodnik przełykał łzy.

Genia była brunetką, o śniadej karnacji i semickich oczach. Mówiła po polsku z żydowskim akcentem. Jej główną zaletą była małomówność. Z tęsknoty za moją rodziną zrodziła się we mnie chęć przygarnięcia jej jako mojej młodszej siostry. Toteż od razu stała mi się bliska i umówiliśmy się, że nazajutrz rano spotkamy się u mnie i stąd wyruszymy na dworzec. Przed pożegnaniem zwróciłam Becalelowi jego dwa pamiętniki, bo postanowił oddać je swojemu przyjacielowi - Polakowi. Czas upływał. Pograżeni w smutku staliśmy patrząc nieufnie w przyszłość. Ogarnęła mnie obawa, że więcej się nie zobaczymy.

Zapadła noc. W czarnej ciszy jawiły się przed moimi oczami wstrząsające obrazy śmierci moich Rodziców i ich wnuczki w Treblince, rozstrzelanie siostry w Józefowie i własne ucieczki ze szponów hitlerowskich. Refleksje i rozpamiętywanie ostatniej nocy w żłobku wzmocniły we mnie wiarę i siły duchowe do dalszej walki o życie. Następnego dnia - 2 października 1944 roku, razem z Genią udałyśmy się w stronę wyznaczonego punktu, z którego wywożono Polaków do

Pruszkowa. Przyspieszyliśmy kroku. Z drżącym sercem oddalałam się od Warszawy.

Rozdział siódmy

W Pruszkowie był plac, znany jako miejsce tragedii wielu ludzi, tutaj bowiem codziennie przywożono tysiące wygnanych mieszkańców Warszawy. Na tym placu Niemcy przeprowadzali selekcje, wysyłając młodzież, mężczyzn i kobiety do obozów w Polsce i do Niemiec. Kiedy z Genią weszliśmy na plac, były tam już setki ludzi. Uchodźcy ze stolicy. Od razu ustawiliśmy się w długiej dwuszeregowej kolejce. Genia przede mną, a ja za nią, żeby nie zwrócić na siebie uwagi i mieć ze sobą kontakt.

Warszawianie byli obładowani walizami i paczkami. Każdy chciał zabrać jak najwięcej ze swego dobytku. Nam było źżej, od dawna straciłyśmy wszystko i wszystkich.

Ostrożnie zaczęłam się rozglądać. Obok mnie z prawej strony stała dziewczynka z dużym bagażem. Rzewnie płakała. Było mi jej żal. Wyciągnęłam do niej rękę i zapytałam:

- Czemu płaczesz? Co się stało? W czym mogę ci pomóc?

Odpowiedziała:

- Niemcy gnali nas, a mama nie mogła nadążyć i została w tyle. Zgubiłyśmy się, ledwo dowlokłam się na plac. Czekam dość długo wypatrując mamy, a bez niej nie ruszę się z tego miejsca.

Staralam się ją uspokoić, zapewniając, że mama przyjedzie z następną grupą uchodźców. Moje słowa niewiele pomogły zrozpaczonej dziewczynce. Zaczęłam z nią rozmawiać i od niej na nowo dowiedziałam się, że z tego placu Niemcy transportują młodzież i ludzi w średnim wieku na roboty do Niemiec, starszych i chorych wywożą do miasteczek i miast polskich. Wskazała mi ciężarowe auto stojące w odległości około sześćdziesięciu metrów od nas. Do niego załadowują tylko chore i stare kobiety.

Kiedy usłyszałam o segregowaniu uchodźców, zaczęłam się zastanawiać, jak się stąd wymknąć. Patrząc na plac rozważałam, jak dostać się z Genią do tej ciężarówki. Jediną przeszkodą był niemiecki żandarm, który stał z karabinem naprzeciw nas. Sytuacja wymagała dużej ostrożności. Nie upłynęło wiele czasu i nagle ponura szarość zakryła niebo. Jasne słoneczne przedpołudnie zniknęło za chmurami. Pierwsza błyskawica przecięła niebo, a potem uderzył grzmot, aż ziemia zatrzęsała się pod nogami. Lunał gęsty deszcz. Żandarmi biegiem opuścili plac kryjąc się przed burzą. Wykorzystałam te sprzyjające nam chwile. Złapałam Genię za rękę i szybkimi krokami dobiegłyśmy do otwartej ciężarówki. Usiłowałyśmy wdrapać się do środka. Pomogły nam kobiety stojące wewnątrz. Sprawnie udało się nam dostać do środka, ale nie było gdzie postawić nogi. Starsze kobiety siedziały na podłodze, reszta stała pod ścianami. Ścieśniły się, abyśmy mogły też się zmieścić. W panice czekałyśmy na szofera, aby wyruszyć w drogę.

Kiedy ulewny deszcz ustał, zamieniając się w gęsty drobny, motor zawarczał i z chropawym skrzypem koła wydostały się z błota. Wreszcie znalazłyśmy się poza Pruszkowem. Ciężarówka posuwała się coraz szybciej.

Po kilku godzinnej podróży w bezustannym deszczu, przemoknięte do suchej nitki, zbliżyłyśmy się do jakiegoś miasta. Nagle z ostrym zgrzytem szofer zahamował maszynę. Wyleciał z niej i otworzywszy tylną klapę, zakrzyknął dzikim głosem:

- Raus! Prędko wynoście się stąd!

Wśród nas były kobiety, które poznały, że znajdujemy się w Kielcach. W okamgnieniu wszystkie rozeszły się, szukając dachu nad głową. Zmierzch zapadł, kiedy obie z Genią weszłyśmy szybko w boczną uliczkę i zapukałyśmy do pierwszego parterowego domku.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Zaprosiła nas do mieszkania i nie pytając o nic, rzekła:

- Mam dwoje dzieci i dlatego mogę przyjąć tylko jedną osobę. Dla drugiej z was jest miejsce w sąsiedztwie u mojej przyjaciółki.

Genia, nie zastanawiając się, pożegnała nas i umówiła się ze mną na następny dzień rano. Prędko poszła pod wskazany adres, ja zaś zostałam.

Pokrzepiona gorącym posiłkiem, wpadłam w lepszy nastrój. Chciałam zapomnieć o przeżytych tego dnia lęku. Miło było, gdy pani Marta usiadła obok mnie ze swoimi dziećmi. Zdawało mi się, że znalazłam odpowiednie miejsce dla swoich ulubionych zajęć. Siedząc przy stole, czekałam na rozmowę. Pani Marta zaczęła od pytań: Czy mam zamiar zostać dłużej w Kielcach, jaki mam zawód i w końcu, czy mam pieniądze, aby siebie utrzymać. Poinformowała mnie także, że w mieście zorganizował się komitet społeczny dla niesienia pomocy uchodźcom z Warszawy. Mówiła też o tym, że wygnańcom przydziela się paczki z produktami żywnościowymi, ubranie, buty i nieco pieniędzy na chleb lub komunikację. W wyjątkowych wypadkach komitet społeczny pomaga w znalezieniu pracy. Te szczegóły były ważne, ale my z Genią nie miałyśmy odwagi z tego korzystać. Zapadła noc czarna i bezgwiezdna. Pani Marta przygotowała dla mnie posłanie. Czuję, jak bardzo byłam wyczerpana, toteż goniła mnie do łóżka.

Pierwsza noc w Kielcach napawała wiarą, że wytrwam w tym mieście do końca wojny. Cisza i spokój wewnętrzny pozwoliły mi usnąć kamiennym snem.

Nazajutrz rano przyszła Genia, trzeba było pomyśleć, co robić dalej, żeby nie wegetować. Aby swobodnie móc rozmawiać, wyszłam z nią na podwórze. Opowiedziałam jej o tym, co mówiła pani Marta. Stałyśmy przed dylematem: czy zgłosić się do komitetu, żeby korzystać z należnej nam pomocy, czy szukać prywatnej pracy? Oba rozwiązania groziły niebezpieczeństwem - rozpoznaniem w nas Żydówek. Po chwili namysłu Genia postanowiła pozostać w domu. Woląла nie pokazywać się w instytucji społecznej. Uważałam jej decyzję za słuszną i korzystną dla nas

obydwu. W czasie naszej rozmowy pomyślałam, że byłoby dobrze poszukać pracy w szpitalu miejskim. Geni spodobał się mój pomysł, nie będziemy przebierać w rodzaju pracy, każde zajęcie ułatwi nam życie. Ustaliliśmy, że spotkamy się przed wieczorem. Po jej odejściu wyszłam na ulicę dopytując się, gdzie znajduje się miejski szpital. Tam dozorca mnie poinformował, że sprawa pracy należy do intendenta. Zwróciłam się do niego i przedstawiłam swoją prośbę. Intendent wysłuchawszy mnie odpowiedział:

- Na razie nie ma pracy w szpitalu, ale dla jednej osoby mogę znaleźć zajęcie w moim domu. Muszę o tym pomówić z żoną i teściową.

Poprosił, żeby przyjść jutro o dwunastą. Zabłysła iskra nadziei, a w myślach powtarzała się modlitwa jedna i ta sama: "Pozwól mi, Boże, żyć i pracować w spokoju." Wróciłam do pani Marty. Zastałam jej dziewczynki przy oglądaniu książeczek z obrazkami. Dzieci były mizerne z niedożywienia. Dokuczał im brak chleba. Pomyślałam, że jeśli szczęście będzie mi sprzyjać i zarobię trochę grosza, to podzielę się z nimi. Na razie chciałam dzieci zabawić, opowiedzieć im coś ciekawego, ale zdenerwowanie wewnętrzne nie dało mi się skoncentrować. Czekałam na jutrzejszy ranek. Nareszcie doczekałam się dnia. Zamiast pomóc pani Marcie w sprzątanii, przygotowałam się do spotkania z intendentem szpitala. Wcześniej wyszłam z domu. Kręciłam się po cichych uliczkach dla zabicia czasu. Kiedy wybiła godzina dwunasta, stałam przed drzwiami pokoju intendenta, pana Wiśniewskiego. Nie zdążyłam zapukać, bo właśnie wychodził. Zauważywszy mnie, zatrzymał się i oznajmił, że za zgodą żony i teściowej zaprasza mnie na obiad do domu. Będzie lepiej najpierw poznać jego rodzinę i warunki pracy. Przyjęłam te słowa jak zbawienie. Szliśmy powoli, ale wewnątrz coś mnie nosiło. W drodze pan Wiśniewski opowiadał o swojej rodzinie, która z poczucia obywatelskiego obowiązku postanowiła przyjąć do siebie uchodźcę. Uważał, że średnio zamożni ludzie winni pomóc wygnańcom z Warszawy.

Kiedy zbliżyliśmy się do mieszkania rodziny intendenta, dostałam palpitanie serca, ale to szybko przeszło. Po poznaniu wszystkich członków domu zasiedliśmy do stołu. Obok starszej pani jej córka, żona pana Wiśniewskiego. Z przeciwnej strony druga córka, która była garbata, tuż obok niej siedziałam ja z dziećmi. Ostatni zajął miejsce pan domu. Śmiało i odważnie znosiłam każde spojrzenie, które odwzajemniałam. Staralam się wśród tej rodziny przewycięzać wszelkie odruchy upokorzenia. Poczulałam się swobodniejsza i nieskrępowana.

Atmosfera w tym zamożnym domu tchnęła spokojem i radością. Pomyślałam, że jeszcze słońce zaświeci i dla mnie. Napełniana nowymi wrażeniami, pożegnałam ich i umówiłam się na następny dzień.

W dobrym nastroju wróciłam do pani Marty z nowiną, że od jutra zaczynam pracować. Byłam zadowolona, że udało się znaleźć robotę i zarobek. Przyrzekłam jej w każdą niedzielę

odwiedzać je i pomóc, w czym będę mogła.

O zmroku znów czekałam na Genię, miała przyjść poprzedniego dnia. Dużo nowości miałam jej do opowiadania. A może rozchorowała się albo znalazła pracę - pomyślałam. Pełna wewnętrznego niepokoju poprosiłam panią Martę, aby poszła do przyjaciółki zobaczyć, co tam słychać. Wróciła szybko ze smutną wiadomością: moja koleżanka została wczoraj zabrana z domu sąsiadki. Co się z nią stało, nikt nie wie. - O Boże! - wyrwało mi się. Nic więcej nie mówiłam, aby nie wywołać podejrzenia co do mego pochodzenia. W nocy nasłuchiwałam, czy gestapo nie przyjdzie i po mnie. Rano uporządkowałam pokój. Pożegnałam się z Martą i dziećmi. Jej ostatnie słowa: - Czekamy na ciebie i twoją pomoc - zostały jak echo w moim sercu.

Usiłowałam pospieszyć przemierzać ulice, żeby jak najwcześniej rozpocząć swoje obowiązki. Przed wejściem do mieszkania intendenta nagle poczułam się inna. Podniosłam głowę i lekko zapukałam. Starsza pani przyjęła mnie miłym spojrzeniem. Przekroczywszy próg byłam gotowa do każdej czynności w gospodarstwie. Czekałam na zarządzenia pani domu. Dała mi do zrozumienia, że będę jej pomagać w kuchni i zajmować się dwojgiem dzieci. Moją służbę przyjął z zadowoleniem, czułam, że przy tej rodzinie znajdę spokojne schronienie i dotrwam do końca wojny.

Codziennie po ciężkiej robocie domowej zajmowałam się dziećmi, miałam pod opieką trzyletniego chłopczyka i półtoraroczną dziewczynkę. Będąc z nimi zapominałam o moim losie. Życie popychało mnie naprzód. Przywykłam do nowych obowiązków. Na życzenie starszej pani przy odpowiedniej pogodzie wychodziłam z dziećmi na spacer. Zdarzało się, że ludzie oglądali się za mną. Czasem ktoś spojrzał mi w oczy, udawałam, że tego nie widzę, ale cała drżałam z lęku.

Kiedy zima była w pełni i mróz dokuczał, pozostawaliśmy z dziećmi w domu, wtedy babcia pomagała mi zabawiać wnuki. Lubiała tańczyć z dziewczyneczką, podrzucać ją w górę, wywołać uśmiech na buzi i nazywać pieszczotliwie: Anele, Anele moja?

Gdy usłyszałam kolejny raz Anele, o mało nie rozplakałam się. Przecież tak nazywała się moja Mama, Tata wiecznie wołał: Anele! Anele!”

Częste i gęste śniegi przykryły chodniki kieleckich ulic. Przerwałam spacer z małymi. W domu było ciepło, był dobrze zaopatrzony w węgiel i żywność. A gdy srebrny błyszczący śnieg ozdobił ziemię i mróz zaczął się wciskać do mieszkania, schodziłam dwa razy dziennie do piwnicy i przynosiłam wiadra z węglem na górę. Z samego rana paliłam w kaflowych piecach i dbałam o utrzymanie ciepła do późnej nocy.

Powoli przywykłam do dużego wysiłku fizycznego. Najważniejsze było, że po ciężkim dniu pracy mogłam spokojnie ułożyć się do snu i zregenerować siły.

W każdą niedzielę dostawałam od pani domu symboliczne wynagrodzenie za dokładną i

pilną pracę. Z tych pieniędzy kupiłam sobie skórzane buty i nie chodziłam już w drewnianych. Resztę uzbieranych groszy zaniiosłam do Marty, którą regularnie odwiedzałam w niedziele. Ona i jej córki traktowały mnie jak bliską, jak ciotkę, były bowiem samotne i żyły w chłodzie i głodzie. Często Marta skarżyła się na nędzne życie bez męża, który przepadł w wojsku w 1939 roku. Od wybuchu wojny nie dał znaku życia. Kiedy żegnałam się z dziećmi, ścisnęły mnie i nie pozwalały opuścić mieszkania. Po każdej wizycie przyrzekałam im wrócić w najbliższą niedzielę.

Pewnego razu po powrocie do domu zastałam u państwa Wiśniewskich ich najbliższych sąsiadów. Byli bo ludzie biedni, którzy cierpieli głód. Ponieważ nie mieli opału i dokuczało im zimno, zaczęli wieczorami przychodzić do nas, aby się rozgrzać. Jednocześnie korzystali z gościnności zamożnej rodziny. Pili gorącą herbatę z białym pieczywem i godzinami przesiadywali prowadząc rozmowy na aktualne tematy. W tym samym pokoju siedziałam wieczorami zajęta szyciem. Bywało, że ci sąsiedzi i mnie zadawali pytania. Staralam się zaspokajać ich ciekawość przygotowanymi odpowiedziami. Czasem obserwowali mnie, gdy szłam z wiadrami węgla z piwnicy. Dobrze wiedzieli, że w domu intendenta jest dobrobyt i stać go nawet na utrzymanie pomocy domowej. I to wywołało chyba u nich zazdrość. Czułam ich wrogie spojrzenia i wysłuchiwałam pytań, czy jestem zadowolona z pracy, ile zarabiam i tym podobnych.

Po pewnym czasie stałam się wobec nich nieufna. Obawiałam się, że ich zazdrość i nieżyczliwość doprowadzi do odkrycia prawdy o mnie i znowu znajdę się w szponach nienawistnej śmierci.

Zaledwie odetchnęłam z ulgą, odpędzając złe myśli, a tu na nowo czarny wróg czai się w podświadomości. Wbrew woli uległam psychozie, zaczęłam rozmyślać, jak zdobyć inne miejsce zamieszkania, gdzie się ewentualnie przechowam. Bezsennie noce pełne medytacji i rozważań dręczyły mnie. Postanowiłam opuścić Kielce. Ale dokąd iść, u kogo znaleźć schronienie - nie wiedziałam! Jediną osobą, która mogła mi pomóc, była Marta.

Podczas niedzielnych odwiedzin u niej zwierzała mi się z kłopotów materialnych, troski o dzieci i tęsknoty za mężem. Krótco przed świętami Bożego Narodzenia opowiedziałam jej, że moje nadwątlone zdrowie nie pozwoli mi podołać ciężkiej pracy, której się podjęłam. Padam z nóg. Pragnę zajmować się dziećmi, chować je i uczyć. Chętnie wyjechałabym dokądkolwiek za cenę utrzymania i dachu nad głową. Na moje narzekania Marta zareagowała ze zrozumieniem i współczuciem. Zastanowiła się chwilę i rzekła:

- Moi kuzynostwo, rolnicy spod Krakowa, są zamożnymi gospodarzami, posiadają własny murowany dom, bydło i ptactwo. Mają dzieci w wieku szkolnym. Dotychczas nie uczyły się. Wiem, że rodzice skarżą się na brak prywatnej nauczycielki. Możliwe, że ciebie przyjmą i będą radzi, że poleciłam im odpowiednią wychowawczynię dla córeczek. Radzę, abyś pojechała do nich

z listem ode mnie. Przygotuję go pojutrze z dokładnym adresem.

Tym razem wyszłam od Marty jak odrodzona, bo nowe miejsce było wielkim skarbem, który mógł ocalić mi życie.

W domu państwa Wiśniewskich pachniało przedświąteczną atmosferą. Tradycyjne zwyczaje Bożego Narodzenia znałam z poprzednich lat, toteż łatwo mi było przystosować się do nich. Razem ze starszą panią zabrałam się do porządkowania szaf, łóżek i pokoi. Kiedy mieszkanie błyszczało czystością, pan Wiśniewski przyniósł dość dużą choinkę. Jego żona zajęła się ozdabianiem jej i ustawianiem w kącie stołowego pokoju. Rano w dzień Wigilii, kiedy zimowe słońce dodawało ciepła i złotego blasku, zwolniłam się na krótką wizytę u Marty, aby jej i dzieciom złożyć życzenia. Zabrałam dla nich, co mogłam, z przygotowanej kolacji. Starsza pani była bardzo hojna i chętnie ofiarowała pieczeń i ciasto dla ubogich dzieci.

Kiedy wchodziłam do mieszkania Marty, jej córeczki już na mnie czekały. Prędko złapały torbę z moich rąk i ze smakiem zaczęły zajadać świeże ciasto. Marcie dałam część moich oszczędności i mały półmisek pieczonego mięsa. Pocieszałam ją też przyrzeczeniem, że jeśli pojedę do jej kuzynów, będę zachęcać ich do wysłania paczki z żywnością dla niej. Opowiem im, że dzieci głodują i marzną z zimna.

Przed pożegnaniem Marta dała mi list z dokładnym adresem jej kuzynostwa. Zrobiła nawet szkic, gdzie mieści się ich budynek, abym bez trudności trafiła. Dziewczynki stanęły w drzwiach, nie pozwalając mi odejść. Musiałam im wytłumaczyć, że spieszę się do pracy i wkrótce pokażę się znowu.

Wróciwszy do domu, zdążyłam jeszcze pomóc przy obiedzie. Stęsknione dzieci mocno mnie ścisnęły. Dałam im jeść i ułożyłam do snu, a sama poszłam do kuchni sprzątać. Przemęczenie sprawiło, że usnęłam przy dzieciach. Mała drzemka odświeżyła mnie. Potem razem ze starszą panią zabrałyśmy się do przygotowania stołu do wieczery wigilijnej. Kiedy zmrok zapadł i ukazała się pierwsza gwiazda na niebie, wszyscy ubrani odświętnie - ja włożyłam sukienkę, którą dostałam w prezencie od Janiny Bagińskiej - zasiedliśmy do stołu. Dzieci bawiły się. Prawdziwy tradycyjny świąteczny nastrój ogarnął domowników. Noc wigilijna rozpoczęła się od dzielenia opłatkiem. Kolędy utrzymane były w tonacji minorowej, tylko głosy dzieciaków pełne były radości.

Następnego dnia wszyscy wybraliśmy się na dłuższy spacer. Mroźne, ostre powietrze zmęczyło nas szybko, więc wróciliśmy do domu. W sieni czekali sąsiedzi, aby się u nas ogrzać. Matka pani Wiśniewskiej, znana ze swojej gościnności, podała ciasto i herbatę. Przyjemne ciepło biło z każdego kąta, dbałam bowiem, aby piec nie wygasał ani na chwilę. Staralam się okazać swój dobry nastrój i zadowolenie z pracy. Nagle zauważyłam złe spojrzenia sąsiadów skierowane na mnie. Omal się nie zdradziłam, krew uderzyła mi do głowy. Czułam wzmagający się lęk i niepokój.

Ciężko było pogodzić się z myślą, że muszę opuścić dom, w którym doznałam prawdziwego wewnętrznego odprężenia. Ale nie wolno mi było ryzykować i zwlekać. Postanowiłam gdzieś wyjechać, w grę wchodziło tylko kuzynostwo pani Marty, wszak nie miałam innego adresu.

Po świętach Bożego Narodzenia napięcie wzmagало się i jakby pchana siłą mistyczną, przygotowałam się do wyjazdu.

4 stycznia 1945 roku, gdy zapadł zmrok i starsza pani krzątała się w kuchni, podeszłam do niej i zaczęłam się tłumaczyć:

- Otrzymałam wiadomość od siostry z Krakowa, że ostatnio choruje i nie ma jej kto pomóc. Prosi, żebym jak najszybciej przyjechała. Dlatego jestem zmuszona opuścić pracę i dzielić z nią wspólny los.

Starsza pani przyjęła z żalem moje słowa. Zmartwiła się. Spojrzała mi w oczy. Myślę, że domyśliła się prawdziwej przyczyny, która zmusza mnie do opuszczenia Kielc. Po chwili zakłopotania rzekła:

- Wojna skazała ludzi na wędrówki, ale barbarzyństwo ma się ku końcowi. Napisz do nas.

W nocy zaczęłam rozpamiętywać swoją niedolę. Jeszcze raz analizowałam moją decyzję. Rano przestałam myśleć. Wewnętrzny nakaz wygnał mnie z łóżka. Przygotowałam torbę. Ubrałam dzieci, nakarmiłam je i uporządkowałam nasz wspólny pokój. Pożegnawszy się z intendentem, dziękowałam mu za dobrą wolę. Resztę rodziny - każdego z osobna - objęłam, szczególnie serdecznie całowałam młodszą siostrzyczkę pani Wiśniewskiej. Dzieci pieściłam i przytulałam do serca. Wyszłam z domu na stację.

Na peronie stał nieprzeliczony tłum ludzi, w który wepchnęłam się, aby nie być zauważoną. Nadjechał pociąg, zatrzymał się na krótko i ruszył w drogę. W wagonach zrobiło się ciasno, ale za to ciepło i gwarno. Pociąg włókł się prawie do zmierzchu, zatrzymując się nawet na najmniejszych stacjach. Kiedy wysiadłam, ciemność już zgęstniała. Do wsi pozostał mi spory kawał drogi. Strach mnie ogarnął, bałam się iść sama. Chciałam przenocować w najbliższej wiosce. Zapukałam do pierwszej chałupy przy drodze. Kobieta otworzyła drzwi i spytała, co mnie do niej sprowadza?

- Mróz i czarna noc zaskoczyły mnie w drodze do kuzynów. Proszę pozwolić mi przenocować. Rano muszę iść w dalszą drogę - odpowiedziałam.

- Gość w dom, Bóg w dom - odezwała się wieśniaczka.

Odetchnęłam, kiedy weszłam do kuchni i ciepło uderzyło z glinianego pieca, a gorący talerz zalewajki mnie pokrzepił. Poślanie tuż obok pieca na podłodze pomogło mi rozgrzać się. Spałam kamiennym snem. Przyrzeczenie, że rano opuszczę dom, wypędziło mnie z poślania. Ubrałam się po ciemku, podziękowałam za gościnność i poszłam w drogę. Ostry mróz i zamglone słońce wprowadziły mnie w szybki rytm marszu. Nie oglądając się za siebie, szłam myśląc o najbliższej

przyszłości.

Po godzinie byłam we wsi, w której z łatwością poznałam dom kuzynów Marty. Był to jedyny murowany z cegieł budynek, stojący na skraju wsi. Nim zapukałam do drzwi, drżałam z zimna i ze strachu. Akurat nadeszła właścicielka. Zdziwiona spytała:

- Czy do nas?

- Przyjechałam z Kielc. Mam dla pani list od kuzynki Marty - odpowiedziałam.

Przeglądając prędko list właścicielka zaprosiła mnie do mieszkania i nawiązała dłuższą rozmowę. Wypytywała o różne szczegóły, dotyczące znajomości z Martą. Padły także pytania, skąd pochodzę? W jakim mieście wychowałam się? Czy mam praktykę w zawodzie nauczycielskim? Odpowiedziałam jej i poinformowałam o ciężkich warunkach materialnych Marty i jej dzieci. W końcu właścicielka wyraziła zadowolenie, że jej dzieci zaczną się uczyć. Zależało jej także na dobrym ich wychowaniu. Po skończonej wymianie zdań pani domu przedstawiła mi swoje córki. Stały zawstydzone i nie śmiały spojrzeć na mnie. Zapytałam je, czy chcą się uczyć, na co kiwnęły główkami. W południe, kiedy wraz z dziećmi usiadłam do obiadu, poznałam gospodarza domu. Już wiedział o mnie, że jestem wychowawczynią i chcę się zająć nauczaniem ich córeczek. Podobno był zadowolony, że kuzynka Marta zatroszczyła się o to.

Po skończonym obiedzie zabrałam się do pierwszej lekcji. Weszłam do pokoju, w którym te trzy dziewczynki miały swoje łóżka i szafę. Był też niski stół z krzesłkami. Przy nim zabrałyśmy się do nauki czytania. Żeby pozyskać dzieci, zaczęłam opowiadać im prawdziwe bajki i wymyślone przeze mnie. Poza nauką dbałam także o ich czyste ubrania i nieraz prasowałam im sukieneczki. W ciągu tygodnia dzieci przywiązały się do mnie i nabrały chęci do nauki. Po kilku dniach pracy ze mną zaczęły się chwalić przed rodzicami, że potrafią już pisać.

W nocy między 13 a 14 stycznia 1945 roku przebudził mnie wyjątkowy ruch w naszym domu. Z wytężeniem nasłuchiwałam, co się dzieje wokoło. Gospodarze nie spali mimo późnej godziny. Wychodzili wielokrotnie z mieszkania do piwnicy i wracali. To powtarzało się aż do rana. Dziwiło mnie, że właściciele domu poruszali się po ciemku. Tylko półksiężyc im przyświecał. Nie mogłam zrozumieć, co zaszło. Jeszcze o północy podeszłam do okna i usłyszałam bliskie i wyraźne echo kroków maszerujących żołnierzy. Pomimo że okiennice były zamknięte i trudno było dokładnie zobaczyć, jakie to kroczy wojsko, jednak udało mi się przez szpary i dziury w okiennicach dojrzeć zielone mundury. Kiedy przechodzili koło okien, zobaczyłam, że to wojsko niemieckie. Nie wierzyłam własnym oczom. Pomyślałam, że śnię albo jestem w letargu. Długo ciągnął się ten marsz, a jego echo wryło mi się w pamięć na zawsze.

Rano moi gospodarze zakazali dzieciom wychodzić z mieszkania, a mnie prosili, aby bardzo uważać, żeby któreś z nich nie wyjrzało na ulicę nawet na chwilę! Wydało mi się dziwne, że

właściciel ani jednym słowem nie pisnął o nocnych zajściach.

Kiedy on wyszedł, a ja zostałam z dziewczynkami na lekcji, nagle straciłam cierpliwość i zapragnęłam wyjść na zewnątrz. Uprzedziłam dzieci, że wychodzę na minutę i zaraz wracam, a one mają nie ruszać się z miejsca. Wyszłam. Stałam przed parkanem rozglądając się dookoła. Na pustym polu w odległości sześćdziesięciu-siedemdziesięciu metrów stał czołg, na którym była pięcioramienna czerwona gwiazda. Tkwił on prawie do połowy w śniegu. Nie było w nim widać żadnego żołnierza. Na widok samotnego czołgu rosyjskiego kłęby myśli przemknęły mi przez głowę, a serce waliło jak młotem. Niedosłyszalny, wewnętrzny głos wołał: Nie! to niemożliwe! czyżby Rosjanie zajęli naszą wieś? Nie, nie, nie wierzę, że żyję! Stłumiłam łzy! Wróciłam do dzieci i zajęłam się nimi. Staralam się skoncentrować na tym, co robię. Ale czułam, że coś się we mnie kotłuje. Nagle podniecenie i przesuwające się w wyobraźni obrazy z przeszłości nie pozwalały skupić się. Pragnienie wolności wzmagalo się. Chciałam pofrunąć do siostry do Ceglowa. Szlochać z nią razem nad barbarzyńską tragedią, jaka spotkała mój naród żydowski. Nie mam rodziców, nie mam domu. Nie mam rodziny, bliskich ani koleżanek, nie mam nikogo. Czy została mi siostra? - pytałam Boga.

Przy obiedzie gospodarze zachowywali się spokojnie, milczeli jak zwykle. Oczekiwałam, a raczej spodziewałam się po nich, że usłyszę cokolwiek o nowych wydarzeniach w naszej okolicy. Ponieważ żaden dźwięk nie wydostał się z ich ust, i ja udawałam obojętną, tak dyktował mi instynkt.

Tego wieczoru przyszło kilku żołnierzy rosyjskich. Rozsiedli się dookoła kuchennego stołu. Chcieli jeść i pić, byli głodni. Gospodarze uprzejmie ich ugościli, stawiając na stole świeży chleb, zsiadłe mleko i duży dzban gorącego mleka. Po godzinnym odpoczynku żołnierze opuścili nasz dom.

Wtedy już byłam pewna, że to Rosjanie szli naprzód, oczyszczając polską ziemię z niemieckiego wroga. Powoli uspokajałam się, a mózg coraz bardziej uwalniał się od natłoku myśli. Zrozumiałam, że nocny ruch w domu był spowodowany zbliżaniem się wojska rosyjskiego i właściciele szykowali się do przyjęcia żołnierzy Armii Czerwonej.

Po ich wyjściu zaczęli przychodzić do naszego domu sąsiedzi ze wsi. Zebrało się ich sporo. Między innymi pewna staruszka, która wodziła tu rej. Wiejską gwarą opowiadała:

- Docekaliliśmy się kłęski Swabów. Ale jak to będzie z Rusią, dopiero zobaczymy. Ja tam nie wierze Moskałom. Jesce pamiętam, kiedy byli naszymi wrogami. Niecha cort weźmie wszystkie wojny, dosyć bijatyki. I po co to zabijać ludzi!

Gospodarz przerwał staruszce wywody i poprosił żonę, aby przyniosła wódkę.

- Napijmy się po kieliszku. Jutro Polska będzie nasza! Wódki nie brak, pijmy więc za naszą

wolność! - wykrzyknął.

Zrobiło się gwarno i wesoło. Humor, radość i śmiech napelniły serca Polaków. Rozmowy były głośne, swobodne i ciągnęły się do późna w nocy.

Chciałam się cieszyć razem ze wszystkimi, być przez chwilę szczęśliwą, ale nie mogłam. Pomimo zmiany na froncie wciąż tkwiłam w cieniu śmierci. Ogarnęła mnie rozpacz i gorycz po stracie najdroższych. Co mi po życiu, kiedy nie mam dokąd iść! Kto na mnie czeka? - pytałam siebie.

Rozbita na drobne kawałeczki, musiałam zebrać je w nową całość. To był rozkaz życia. Wreszcie sen utulił mnie w swoich ramionach.

Rano zauważyłam na szybach, że złośliwy mróz złagodniał. Wyjrzałam na chwilę. Akurat złociste słońce wyłaniało się ze swego ukrycia. Zajrzało do naszego dzieciennego pokoju. Nagle poczułam się lżejsza, jakby kamień usunął się z serca, zaczęło bić wolniej. Dość się wypłakało. Zaczęło szeptać matczynym głosem:

- Wyprostuj się, dziecko, podnieś głowę wysoko, jeszcze wyżej. Idź śmiało przez twarde życie! Daj nowe życie życiu. . .

15 stycznia 1945 roku zostałam oswobodzona. Dwa dni później pożegnałam gospodarzy i moje trzy uczennice. Ruszyłam w drogę do najdroższej siostry, która czekała na mnie w Cegłowie za Siedlcami.

Przeznaczenie chciało, żeby Renia miała siostrę - mnie!

Zostałam przy życiu. Czy to prawda, że żyję? Od autorki Aby pozostać w pamięci tych, którzy przyjdą po mnie, postanowiłam, choć dość późno, utrwalić ogrom cierpień przeżytych w latach kataklizmu drugiej wojny światowej. Chciałam również uwiecznić tych Polaków, którzy w epoce zagłady Żydów pomimo grózb i niebezpieczeństw udzielali pomocy ściganym.

Jak piękne i ciekawe jest życie, o tym świadczy fakt, że tak walczyłam o nie. Pragnę więc, aby młodsze pokolenia zapoznały się z tą moją walką i nauczyły się cenić życie jak największą świętość.

Dobro i zło leżą w naturze ludzkiej. I tylko człowiek potrafi przezwyciężyć potwora zła i nienawiści, jeśli zrozumie wartość przykazania: "Kochaj bliźniego jak siebie samego." Nazwiska Janiny Bagińskiej, Bartkowiaków, Grzelców, Heleny Gruszeckiej, Pinkiewiczowej, Sandomierskich, Becalela Perechodnika, Natana Buchaltera, Geni Gutman są autentyczne. Pozostałych nazwisk nie pamiętam.